POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

19 lat

Poniedziałek, 24.08.2026
Nr 68 (2579)
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081 • Nr indeksu 349-682

www.i.pl

SPORT • STR. 23

Wraca stara Świątek? *To efekt pozytywnego myślenia*

Mimo porażki w półfinale turnieju w Cincinnati widać wyraźnie, że forma Igi Świątek rośnie. Jest jedną z faworytek US Open

FOT. IMAGO/SHAINA BENHIYOUN/SPP/IMAGO SPORT AND NEWS/EAST NEWS

DZIŚ W NUMERZE

- *Sportowy 24: najciekawsze informacje i analizy ze świata sportu*
- *Pod paragrafem: najstraszniejsze historie kryminalne retro*

MAGAZYN
Dymisja minister
od promocji marki Polska i jej przygody ze sztuczną inteligencją – **Str. 4**

MAGAZYN
Karol Polejowski:
Ukraińcy blokują ekshumacje ofiar rzezi wołyńskiej – **Str. 6–8**

eprasa.pl 0b30b0837f

POLECAMY

PIĄTEK: Wchodzi zakaz korzystania z komórek w szkołach. Ale i dorośli używają ich nadmiernie

24.08.2026
Poniedziałek

Dziś imieniny: Alfreda, Maksymiliana, Elżbiety
Telefon alarmowy: 112

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Marek Mazurkiewicz
publicysta, politolog

Czy poseł Kowalski
weźmie odpowiedzialność?

Kiedy 20 lat temu rozpoczynał karierę, wydawało się, że będzie powiewem świeżości w polskiej polityce. Popularność zdobył dzięki Stowarzyszeniu „Stop Korupcji". Trafił na podatny grunt, bo afera „dobrych domów", którą opisywaliśmy, pokazywała, jak dalece korupcja zatruła różne miasta.

Wtedy Janusz Kowalski, jako inteligentny i pomysłowy młody człowiek, wyróżniał się pewnością siebie i miał polityczną odwagę, by bez kompleksów rywalizować z ówczesnymi liderami. Ta pewność siebie szybko ustąpiła miejsca bezczelności i bezkompromisowości, które w polityce są skutecznym narzędziem osiągania celów.

Po dojściu PiS do władzy w 2015 r. i rocznym współzarządzaniu opolskim ratuszem zaczął wędrować po radach nadzorczych spółek skarbu państwa, odcinając kupony swojej politycznej skuteczności. Z biegiem lat radykalizował poglądy, a może tylko - w myśl idei, że cel uświęca środki - uznał, że w polityce wszystkie chwyty są dozwolone.

Ostatnio promuje się hasłem, że wszyscy Ukraińcy - „co do jednego" - muszą wyjechać z Polski. Jako człowiek inteligentny, a tej cechy nie da się zgubić, musi wiedzieć, że nie jest to ani możliwe, ani korzystne dla polskiej gospodarki, której bez imigrantów grozi zapaść.

Ciekawe, czy poseł Kowalski, zbierając poklask w sieci oparty na sianiu nienawiści i promocji ksenofobicznych haseł, bierze odpowiedzialność za ich skutki w postaci aktów agresji, o których coraz częściej informują media?

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH

Skradzione dane medyczne

W przychodniach, laboratoriach analitycznych, szpitalach i gabinetach lekarskich widzimy coraz więcej komputerów. Dzięki temu dane pacjenta trafiają wprost na ekran lekarza, a jego zalecenia są natychmiast widoczne w miejscach, gdzie mają być realizowane.

W przeszłości osoby zainteresowane zastosowaniami komputerów w medycynie zapraszałem do mojej książki „Informatyka medyczna", dostępnej w internecie od 2011 r. Książka ta, udostępniona między innymi w serwisie „Otwórz książkę", była pobierana przez ponad 128 tysięcy czytelników, więc widać, że temat był już wtedy „gorący". Ale teraz oczywiście wiadomości zawarte w tej mojej książce mocno się zdezaktualizowały, a temat stał się jeszcze gorętszy. Jest bowiem także ciemna strona informatyki w medycynie. Chodzi o kradzieże danych o pacjentach.

Włamania do komputerów były (i są!) zmorą XXI wieku. Najgroźniejsze są dla systemów bankowych. Przełamanie barier ochronnych w tych systemach skutkuje kradzieżą pieniędzy, a także defraudacją danych klientów - na przykład numerów ich krat kredytowych. Podobnie „łakomym kąskiem" dla hakerów są komputery wielkich korporacji przemysłowych, z których można ukraść informacje na temat ich planów strategicznych, a także stosowanych techno- logii.

Ale dane medyczne?

Okazuje się, że także one mają dla złodziei dużą wartość. W odróżnieniu od danych bankowych są one niezmienne. Po komputerowym włamaniu do banku zmienia się natychmiast dane i blokuje karty. Natomiast nie da się zmienić danych osobowych pacjentów ani zablokować ich chorób. Złodziej może z tego zrobić dowolny użytek!

Prof. Koczkodaj z Laurentian University, z którym w 2020 roku współpracowałem naukowo, opublikował w tamtym czasie wynik badań włamań do systemów medycznych w USA. Okazuje się, że w okresie od 2009 do 2017 roku wykradziono tam sumarycznie 173 398 820 kompletów danych o pacjentach. I to w USA, gdzie o bezpieczeństwo danych cyfrowych dba się bardzo skrupulatnie!

W Polsce przez długi czas temat ten nie istniał. Oczywiście ciągle słyszeliśmy o włamaniach do różnych systemów informatycznych, ale narażony był głównie szeroko rozumiany biznes. Bywały też ataki na prywatne komputery, ale skala tych przestępstw była raczej ograniczona.

Tymczasem ostatnio wybuchła afera związana z wyciekiem wrażliwych danych medycznych około 19 milionów Polaków przechowywanych w systemach firmy MyDr. Ukradzione dane medyczne dotyczą zarówno pacjentów prywatnych gabinetów medycznych (12 tysięcy placówek!) jak i NFZ. Szacuje się, że wykradziono 2,5 terabajta danych. Dla osób mających mniej doświadczenia w obcowaniu z dużymi systemami informatycznymi wyjaśniam, że naprawdę dużo danych. Terabajt to ponad tysiąc gigabajtów (dokładnie 1024), a gigabajt to ilość informacji odpowiadająca w przybliżeniu jednemu filmowi pełnometrażowemu albo stu tysiącom zdjęć wysokiej jakości. Zwykły tekst to zaledwie około 2 kilobajty na stronę, więc ukradziono równoważność ponad miliarda stronic tekstu!

Rząd podszedł do afery bardzo poważnie. Minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski zwołał w tej sprawie pilne posiedzenie sztabu kryzysowego. Nie ulega wątpliwości, że ten kryzys zostanie opanowany. Sprawy cyberbezpieczeństwa w Polsce są w fachowych i odpowiedzialnych rękach.

Ale kradzież danych z systemów MyDr powinien być potraktowany jako ostrzeżenie. Jest to pierwsza, ale zapewne nie ostatnia afera związana z „wyciekiem" danych medycznych. Dlatego, podając w przyszłości swojej dane w przychodni czy szpitalu, pytaj o to, jak będą one zabezpieczone. Bo nie chcesz, żeby informacje o Twoich chorobach czy przebytych leczeniach stały się znane Twojemu pracodawcy i były publicznie komentowane!

KRÓTKO

Kraków

Tragiczny wypadek. Zginęli rodzice niemowlęcia

Nadmierna prędkość kierowcy była przyczyną utraty panowania nad samochodem, zjechania na chodnik i uderzenia w małżeństwo z 8-miesięcznym dzieckiem w wózku – wynika z ustaleń śledczych. Do wypadku doszło w sobotę w Krakowie. Kobieta i mężczyzna zmarli w szpitalu, a dziecko wciąż walczy o życie. 26-letni Hubert B., kierowca Volkswagena został zatrzymany. **PAP**

Warszawa

Karykatury Karola Nawrockiego na ulicach

W nocy z 20 na 21 sierpnia aktywiści Greenpeace rozwiesili w centrum Warszawy plakaty z karykaturą prezydenta Karola Nawrockiego. Akcja była związana z pierwszą rocznicą jego weta wobec tzw. ustawy wiatrakowej. - To jest Karol. Karol jest prezydentem. Karol boi się wiatraków i rok temu zawetował ich rozwój. Przez tę decyzję każda polska rodzina traci 1500 zł rocznie. Nie bądź jak Karol - brzmi napis na rozwieszonych plakatach. **MB**

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską"

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

eprasa.pl 0b30b0837f

Skoro nie potrafimy zlikwidować ocieplenia klimatu, warto się dostosować

Idą przez nasze głowy fale pomroczności jasnej. Wykształceni, odpowiedzialni ludzie wpadają w gotowe trajektorie umysłowe i dadzą się pokroić za bzdury. A kiedy rzeczywistość je weryfikuje, sami nie wiemy, dlaczego daliśmy się nabrać.

Jak w przypadku betonowania miejskich rynków, których setki zamieniono w pustynie. Szły na to sowite dotacje, a wójt czy burmistrz nie oprze się pokusie „darmowych" zewnętrznych pieniędzy. I mamy to, co mamy: latem patelnia, zimą ślizgawica. A przecież było łatwo przewidzieć, że się nie sprawdzi. Teraz odbetonowują. W Płocku za prawie 1,5 miliona złotych. Dopłaci Fundusz Rozwoju Regionalnego, czyli my, tylko naokoło. Cieszę się wraz z mieszkańcami miejscowości, do których rozum powrócił, choć przypomina mi to powiedzonko: „Szyje, pruje i z tego się utrzymuje".

A wycinka tysięcy starych, przydrożnych drzew? Żaden argument nie trafiał. Nieraz zabierałam w tej sprawie głos. We Francji, Włoszech czy Austrii aleje starych drzew dają cień, nawet w centrach miast. U nas mówiono, że drzewa są niebezpieczne dla kierowców i przechodniów, bo może spaść konar. Ciekawe, dlaczego gdzie indziej stare drzewa są piękne i pożyteczne, a w Polsce mordercze.

Pomroczność jasna opanowała myślenie o klimacie. Skutki będą poważne. Zaznaczam, że ocieplenie klimatu uznaję za fakt i z tym nie polemizuję. Schody zaczynają się przy metodach działań, które mają nam pomóc w nowych warunkach.

Najgorszą z metod jest budowanie paniki. Tymczasem nieustannie jesteśmy straszeni: „Nadchodzi pogodowy armagedon!"; „To nie koniec upałów!" ;„Kataklizm wysokich temperatur!". Przerażeni ludzie drżą na myśl o piekle, jakie nas czeka. Nikt nie konfrontuje alarmów z rzeczywistością, bo wdrukowano nam w głowy, że mamy do czynienia z ekstremalnym żarem. A w lipcu mieliśmy zaledwie kilka upalnych dni, zaś średnia temperatura była niższa od średniej z 30 lat. Po prostu lipiec był chłodniejszy od poprzednich.

A więc nie ma problemu? Niestety, problem jest. I to potężny. W walce z globalnym ociepleniem wybrano nonsensowny front, na którym czeka nas porażka. Całą uwagę zbierały akcje radykalnych klimatystów: przyklejania się do asfaltu, oblewanie farbą oraz medialny jazgot pod hasłem „Planeta płonie!", Słyszałam deklaracje młodych kobiet, uważających, że posiadanie dzieci jest narażaniem niewinnych istot na spłonięcie żywcem (!).

Cała para szła w gwizdek. Deklarowaną i ostro wcielaną w życie ambicją było zatrzymanie ocieplenia w skali globalnej, co nie mogło się udać: nie mamy jeszcze skutecznych po temu narzędzi. Musimy się więc dostosować do nowych warunków, a tu realnych działań brak.

Mając tyle wody, co Egipt, beztrosko betonowaliśmy koryta rzek. Osuszaliśmy bagna i torfowiska, żeby wyrwać grunty pod inwestycje

LILIANA SONIK
Publicystka

Mając tyle wody, co Egipt, beztrosko betonowaliśmy koryta rzek. Osuszaliśmy bagna i torfowiska, żeby wyrwać grunty pod inwestycje. Gdzie jest państwo? Dlaczego nie ma „instrukcji" dla budujących nowe domy i gmachy publiczne? Na gwałt potrzebne są nowe rozwiązania w skali mikro. To pozwoli zachować komfort życia mimo zmian klimatu. Powstają tysiące gmachów i domów z gigantycznymi oknami w modelu beton + szkło. Fajnie to wygląda, ale w takim domu bez klimatyzacji trudno żyć. Izolacja termiczna w zabudowaniach tego typu pomaga tylko odrobinę. Ogrzewanie i chłodzenie to kosztowna energetyczne rzeźnia. I o tym powinno się stale mówić. Czas sięgnąć po metody stosowane w krajach południa, a dawno temu także w Polsce. Na przykład mniejsze okna z zewnętrznymi okiennicami są tanie i zaskakująco skuteczne. Podobnie jak białe dachy, mechaniczne łamacze światła i naturalna wentylacja mieszkań. Powstające osiedla powinny być budowane tak, by domy cieniowały się nawzajem. Pomaga też roślinność. Oraz nowe materiały budowlane. Proste, skromne, ale skuteczne rozwiązania, o jakich nie myślimy, bo się o nich nie mówi.

To rząd i miasta powinny zapoczątkować zmiany. I to natychmiast.

LILIANA SONIK
Publicystka

REKLAMA
0011567960

eprasa.pl 0b30b0837f

POLITYKA

Minister od promocji i jej przygody z AI, czyli nagła dymisja pełnomocniczki

Z pomocy sztucznej inteligencji należy korzystać umiejętnie. Sprawdzać fakty, które podaje, czasami popracować nad stylistyką tekstów, które generuje. Barbara Mróz-Gorgoń, która miała promować markę Polska, najwyraźniej o tym zapomniała

Dorota Kowalska

Barbara Mróz-Gorgoń stanowisko pełnomocniczki rządu ds. promocji marki Polski zajmowała od końca lipca. W piątek złożyła rezygnację. Wszystko za sprawą raportu „Polaków portret własny".

„Szanowni Państwo, składam dymisję z funkcji Pełnomocniczki Rządu do spraw promocji marki Polski. Przy tej niewyobrażalnej skali hejtu niemożliwe jest pełnienie tak odpowiedzialnej roli. Mam nadzieję, że ważny dla Polski projekt będzie kontynuowany bez względu na trudności" – napisała na platformie X.

Dzień wcześniej Sebastian Meitz z Instytutu Sobieskiego opublikował na platformie X wpis sugerujący, że raport przygotowany pod kierownictwem Barbara Mróz-Gorgoń wygenerowała sztuczna inteligencja.

Cóż, rzeczywiście, pewne sformułowania w raporcie brzmiały dziwnie, były też błędy merytoryczne, bo przecież mamy siedmioro noblistów nie pięcioro, teza o tym, że młode pokolenie Polaków płynnie mówi po mandaryńsku była niczym nieudokumentowana, Katowice na pewno nie leżą w centralnej części kraju, o czym czytamy w dokumencie i co właściwie miało znaczyć sformułowanie o „głębokim zakorzenieniu w historii sufferingu". Takich perełek merytorycznym i stylistycznych było w raporcie znacznie więcej.

„Przeczytałem ten raport. Tutaj nie ma wątpliwości - to jest AI slop. Właśnie przewaliliśmy 200 tys. zł publicznych pieniędzy, aby wygenerować to g***o. Brak słów. Nie wstyd Pani Barbaro Mróz-Gorgoń? Co to w ogóle ma być? Losowe przypisy, nieprawdziwe liczby, tekst rodem z ChataGPT, gdy ten jeszcze raczkował. Wywiady pogłębione z 24 osobami (w tym jedną z młodszego pokolenia). Ja się czuję, jakby ktoś napluł mi w twarz" - skomentował Radosław Ditrich, dziennikarz związany z „Rzeczpospolitą", bo za raport my wszyscy mieliśmy zapłacić 200 tys. złotych. „Oprócz dziurawych przypisów, angielskich słów w przypadkowych miejscach, przekręconych słów („Polskie płaskiz") i masy anegdotek (rozmowa z „terapeutą koleżanki z Niemiec" zdobyła moje serce) najlepsze jest TRUMPOWE pisanie CAPS LOCKIEM w LOSOWYCH miejscach BEZ uzasadnienia" - zwrócił uwagę Jakub Krupa, polski dziennikarz brytyjskiego „Guardiana".

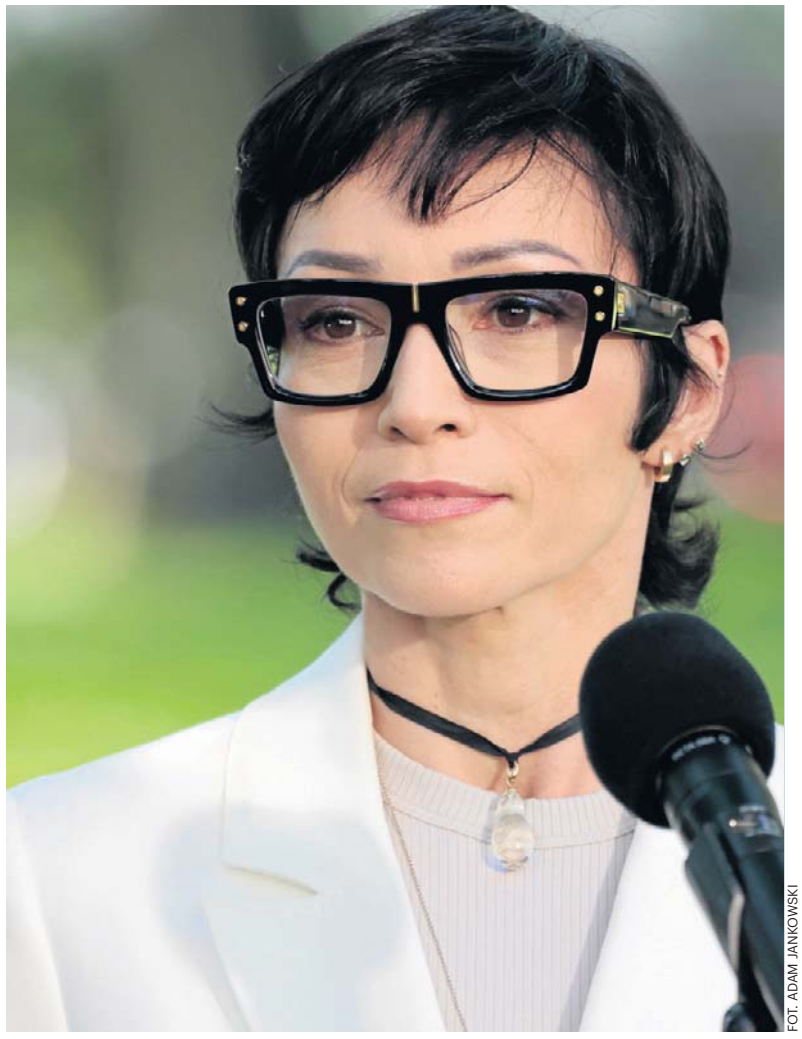

FOT. ADAM JANKOWSKI

Barbara Mróz-Gorgoń stanowisko pełnomocniczki zajmowała od końca lipca

Czyżby nikt tego raportu wcześniej nie przeczytał? I dlaczego prof. Barbara Mróz-Gorgoń zamiast promować markę Polska promuje AI?- Pracowaliśmy zgodnie z metodologią nauk społecznych, rzetelnie i bez chodzenia na skróty. Narzędzia AI wykorzystaliśmy wyłącznie do transkrypcji, podsumowania i redakcji tekstu, nie projektowały treści badawczej ani nie tworzyły wniosków. To była praca w miejscach oddających to, co naprawdę myślą Polki i Polacy. Dzięki temu, dziś razem z nami są przedsiębiorcy i organizacje pozarządowe - tłumaczyła w rozmowie z PAP sama zainteresowana, wskazana w raporcie jako kierowniczka merytoryczna projektu i autorka.

Podczas wywiadu w Polsat News Mróz-Gorgoń przyznała jednak, że raport na pewno był wspomagany sztuczną inteligencją i był efektem czegoś, co w nauce nazywa się work in progress.

- To jest taki dokument, który traktuje pracę w procesie – tłumaczyła Mróz-Gorgoń.

Dodajmy, osoba znana w świecie nauki i utytułowana. Barbara Mróz-Gorgoń jest profesorem nadzwyczajnym na Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu, przewodniczącą Rady Doradczej Kotler Impact Poland i profesorką wizytującą na Kasetsart University w Bangkoku, zawodowo zajmuje się marką i strategią firm.

Pani profesor, po wybuchu afery z AI, mówiła też o pieniądzach.

- Budujemy markę wspólnie, w końcu marka jest jednym z emocjonalnych silników gospodarki. Natomiast w kontekście finansowania projektu Ministerstwo Sportu i Turystyki wyłoniło w konkursie Stowarzyszenie Konferencje i Kongresy w Polsce i zawarło z nim umowę na realizację podstrategii turystycznej Marka Polska. Wykonawca złożył sprawozdanie, a ministerstwo przyjęło rozliczenie. Raport, o którym piszą komentujący na X, nie był częścią tego sprawozdania ani nie był osobno rozliczany - tak tłumaczyła finansowanie raportu.

W czwartek do informacji o kosztach raportu odniosło się Ministerstwo Sportu i Turystyki. „Pezentowany na platformie X raport nie był przedmiotem zamówienia, ani nie stanowił realizacji żadnej umowy, której stroną było Ministerstwo Sportu i Turystyki" - poinformował resort. „Wykonawca przedstawił sprawozdanie z realizacji umowy wraz z dowodami realizacji poszczególnych punktów. MSiT przyjęło rozliczenie umowy na poziomie 179 738,19 zł. Przedstawiony na platformie X raport nie stanowił części umowy, ani nie był przedłożony w ramach sprawozdania" - wskazało ministerstwo.

Tyle tylko, że raportu „Portret Polaków własny", w części lub całości napisanego przez sztuczną inteligencję nie dało się obronić. Zwłaszcza zaś faktu, że nikt się nad nim przed publikacją nie pochylił – nie sprawdził, co pod kątem merytorycznym wygenerowała AI.

- Jest po dymisji i bardzo dobrze się stało - ocenił w TVN24 Bartosz Arłukowicz z KO. - Uważam, że pani minister nie do końca zrozumiała, dlaczego ją ta dymisja spotkała, czy ona ją złożyła, bo napisała w swoim oświadczeniu, że przez ten hejt ona nie może dalej pełnić funkcji - powiedział. I dodał, że „być może to jest dobry moment, żebyśmy wspólnie przyjrzeli się, w jaki sposób budowany jest taki system, że ktoś na podstawie tego typu tworzonych raportów robi karierę naukową".

Do sprawy dymisji Mróz-Gorgoń odniósł się w piątkowym „Gościu Wydarzeń" wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk.

- Pani minister przez całe lata była znana jako działaczka i szefowa takiej grupy, która zajmowała się promocją marki i promocją marek. Miała bardzo ciekawy pomysł na to, jak może funkcjonować marka Polska. Wiele rzeczy chyba nie złożyło się tutaj w całość - powiedział Tomczyk w rozmowie z Markiem Tejchmanem.

Co do uwagi posła Arłukowicza, że pani minister nie do końca zrozumiała, dlaczego spotkała ją dymisja, pełna zgoda. Inni też odnieśli podobne wrażenie.

„Pani Mróz-Gorgoń pomyliła zasłużoną merytoryczną krytykę z hejtem. Nikt jej nie hejtował. Ludzie mieli trochę beki z jej anglicyzmów i opowiadania kompletnych banałów okrągłymi słowami. Ale to nie był hejt, ta pani chyba w życiu prawdziwego hejtu nie widziała, bo na LinkedInie wszyscy się tylko nawzajem poklepują po pleckach" – napisała Anna Maria Żukowska, posłanka Lewicy. I dodała, że „Oczywiście nie znalazło się miejsce dla „przepraszam"".

Także poseł PiS Andrzej Śliwka nie zgadza się ze stwierdzeniem byłej już pełnomocnik rządu i zauważa, że Mróz-Gorgoń pomyliła hejt z „obiektywną oceną jej nieuczciwych praktyk".

„Niestety dla Pani, bańka pękła. Fasada tik-toka, nowomowy na linkdinie, po prostu pękła. Jest Pani po prostu niekompetentną osobą" - to historyk Artur Wójcik.

Europoseł PiS Jacek Ozdoba zastanawia się, czy odchodząca pełnomocniczka rządu „nie powinna oddać pieniędzy", nawiązując do 200 tys. zł, jakie Ministerstwo Sportu miało zapłacić za prowadzone przez nią badania. Potem dodaje: „Specjalistka KO od PR-u i marketingu w kilka dni zrujnowała swój wizerunek i swoją markę. Kryzysem zarządziła tak, że wszystko zwaliła na hejt. Nie wiem, co to za zarządzanie kryzysowe, co to za PR, co to za marketing. Wykładowca... fachowiec... ekspert...".

Sławomir Mentzen nazwał wpis Mróz-Gorgoń „szczytem bezczelności". „Składa dymisję nie dlatego, że wypuściła ten fejkowy raport, tylko z powodu hejtu? Znikaj kobieto z życia publicznego i więcej nie wracaj" - stwierdził.

Sprawa jest jednak poważniejsza i nie kończy się tylko dymisją i burzą w sieci. Prokuratura Okręgowa w Warszawie przekazała w piątek, że „zarejestrowała postępowanie w sprawie nieprawidłowości związanych z finansowaniem rządowego raportu pod tytułem: „Polaków portret własny". Jak dodają śledczy - w swoim stylu, nie wygenerowanym przez AI - trwają czynności sprawdzające. PAP

eprasa.pl 0b30b0837f

WOJNA W UKRAINIE

Coraz więcej Rosjan wyjeżdża z kraju w obawie przed wysłaniem na wojnę

Wielu Rosjan wyjechało w pośpiechu z kraju, unikając poboru w latach 2022–2023. Obecnie, w obliczu narastających obaw przed nową falą mobilizacji w Rosji pojawiają się pewne oznaki, że trend się powtarza

Grzegorz Kuczyński

Jeśli Kreml zdecyduje się ogłosić nową falę mobilizacji, może poczekać do zakończenia wyborów parlamentarnych w przyszłym miesiącu – co oznacza, że ci, którzy mają nadzieję jej uniknąć, wciąż mają czas na podjęcie decyzji o wyjeździe z Rosji.

W czerwcu 2026 roku Rosjanie pobili rekord pod względem liczby zapytań związanych z wyjazdem z kraju. Zapytania typu „gdzie wyjechać bez wizy", „ile trwa wydanie paszportu zagranicznego" oraz „zezwolenie na wyjazd" osiągnęły najwyższe wartości od początku wojny, jak wynika z analizy danych Yandexu i Google Trends.

FOT. ALEXANDER ZEMLIANICHENKO/AP/EAST NEWS

Wzrost zainteresowania wyjazdem to czas kryzysu paliwowego, ataków ukraińskich dronów i plotek o mobilizacji

Wzrost zainteresowania emigracją zbiegł się w czasie z nowymi trudnościami dla osób pragnących opuścić kraj. W lipcu mieszkańcy Moskwy zaczęli masowo skarżyć się na niemożność umówienia się na wydanie paszportu zagranicznego z powodu braku wolnych terminów w oddziałach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Źródła agencji Reuters bliskie Kremlowi informują również, że Władimir Putin przygotowuje się do dalszej eskalacji wojny.

Według szacunków zachodnich służb wywiadowczych do połowy 2026 roku straty armii rosyjskiej wyniosły 1,4 mln zabitych i rannych, a tempo rekrutacji żołnierzy kontraktowych przestało rekompensować te straty. Prowojenne kanały Telegramu podają październik jako możliwy termin nowej mobilizacji i szacują jej skalę nawet na 1,2 mln osób.

Rośnie emigracja Rosjan do Armenii

Oficjalne statystyki wskazują na wzrost liczby Rosjan przybywających m.in. do Armenii. To jeden z krajów najchętniej wybieranych przez emigrantów. Po ogłoszeniu mobilizacji we wrześniu 2022 r. w ciągu pierwszych sześciu miesięcy 2023 r. do Armenii przybyło ponad 500 000 Rosjan na wizach turystycznych.

W kolejnych latach liczby te spadały, osiągając w zeszłym roku poziom prawie 340 000. Jednak od stycznia do czerwca bieżącego roku znów wzrosły – do około 417 000 osób. Oczywiście samo to nie świadczy o masowej ucieczce. Ludzie, zwłaszcza turyści, przyjeżdżają i wyjeżdżają.

Kolejnym wskaźnikiem jest porównanie tych liczb. Od stycznia do maja 2026 r. liczba obywateli rosyjskich przybywających do Armenii była o 7 000 wyższa niż liczba wyjeżdżających. Jest to wartość odbiegająca od statystyk z poprzednich lat i stanowi dość dużą liczbę, biorąc pod uwagę, że według oficjalnych danych z grudnia ubiegłego roku łączna liczba obywateli Rosji posiadających ormiańskie zezwolenia na pobyt wynosiła 43 000 osób.

Rynek nieruchomości potwierdza napływ Rosjan

Już w lipcu niezależny rosyjski serwis informacyjny Wiorstka cytował agentów nieruchomości z Erywania, którzy mówili o gwałtownym wzroście popytu na mieszkania ze strony Rosjan. Potwierdzili to agenci nieruchomości, z którymi rozmawiał serwisu armeński RFE/RL, choć większość z nich nie wyraziła zgody na publikację swoich wypowiedzi. Jeden z agentów powiedział: „Na podstawie moich wrażeń i lokalnych statystyk – ceny wzrosły o około 30 procent. W przypadku wynajmu skok ten sięga nawet 50 procent". Jak powiedział, sytuacja była „bardzo podobna do tej z 2022 roku".

Zmiana warunków rynkowych jest podwójnie interesująca, biorąc pod uwagę, że odwraca ona poprzedni trend, zidentyfikowany w lipcu przez inne niezależne rosyjskie medium, The Insider. „Do 2025 roku rynek wynajmu ustabilizował się. Eksperci odnotowują 30-procentowy spadek stawek w porównaniu ze szczytem z początku wojny na pełną skalę" – podano w raporcie. Innymi słowy, wydaje się, że rynek ponownie znajduje się na gwałtownej krzywej wzrostowej – prawdopodobnie napędzanej lub częściowo napędzanej przez nowo przybyłych z Rosji.

Większy ruch na granicy z Gruzją

Już w latach 2022–2023 Rosjanie uciekali również do innych krajów. Dramatyczne nagrania z dronów ujawniły na przykład ogromne korki na granicy z Gruzją. Teraz zaczyna być podobnie. 18 sierpnia oficjalne rosyjskie dane trafiły na pierwsze strony gazet: w ciągu jednego dnia ponad 20 000 osób przekroczyło główne przejście graniczne do Gruzji. Dodano, że „podobną dynamikę" obserwowano od kilku dni. „Liczba ta znacznie przewyższa dane z tego samego okresu w poprzednich latach" – podano w komunikacie.

Władze gruzińskie zaprzeczyły jednak rosyjskim twierdzeniom. W oświadczeniu z 19 sierpnia podały, że w ciągu 24 godzin, począwszy od godziny 9 rano 18 sierpnia, z przejścia granicznego do Gruzji skorzystało około 7 900 obywateli. Może istnieć pewna rozbieżność co do tego, do jakiego 24-godzinnego okresu odnoszą się te dwa zestawy danych, ale w każdym razie sytuacja jest niejasna.

Zostawiają wszystko i uciekają z Rosji

Pojawiły się również niepotwierdzone doniesienia z Azji Środkowej o osobach posiadających podwójne obywatelstwo, które wracają z Rosji z obawy przed zbliżającym się poborem do wojska. Redakcja Kyrgyz Service RFE/RL rozmawiała z kobietą, która ze względów bezpieczeństwa nie chciała ujawnić swojej tożsamości. Mieszkała w Rosji ponad 20 lat, uzyskując obywatelstwo dla siebie i swoich dzieci.

- Kiedy usłyszałam, że jesienią ma nastąpić masowa mobilizacja, pierwszą rzeczą, o której pomyślałam, był mój syn, który miał już ponad 20 lat, i wróciliśmy do ojczyzny – powiedziała.

Przedstawiciel kirgiskiej diaspory w Rosji, którego tożsamości nie można ujawnić ze względów bezpieczeństwa, stwierdził, że takich przypadków jest coraz więcej. - Kirgizi opuszczają Rosję i wyjeżdżają w inne miejsca, w tym do Kirgistanu, z powodu różnych nacisków. W Kirgistanie obserwuje się również rozwój i tworzenie nowych miejsc pracy, więc wiele osób wyjeżdża właśnie tam – powiedział.

- Niedawno, gdy mój znajomy posiadający obywatelstwo rosyjskie wyjeżdżał do Kirgistanu, na granicy ostrzeżono go, że „jeśli nie wrócisz, twój dom i majątek tutaj zostaną skonfiskowane". Niektórzy z nich, nawet jeśli posiadają obywatelstwo, twierdzą, że nie wrócą. Sprzedają swoje domy i wyjeżdżają – dodał.

REKLAMA 0211461412

eprasa.pl 0b30b0837f

WYWIAD

Karol Polejowski: Ukraińcy blokują ekshumacje ofiar rzezi wołyńskiej

Na razie jesteśmy w sferze deklaratywnej strony ukraińskiej. Czekamy na to, aby rozpatrzono 14 naszych wniosków, które od ubiegłego roku są w Kijowie. Te wnioski, które zostały uwzględnione do tej pory, to sprawy, które już zrealizowaliśmy – np. ekshumację polskich żołnierzy, obrońców Lwowa z września 1939 r., w Zboiskach

Robert Szulc

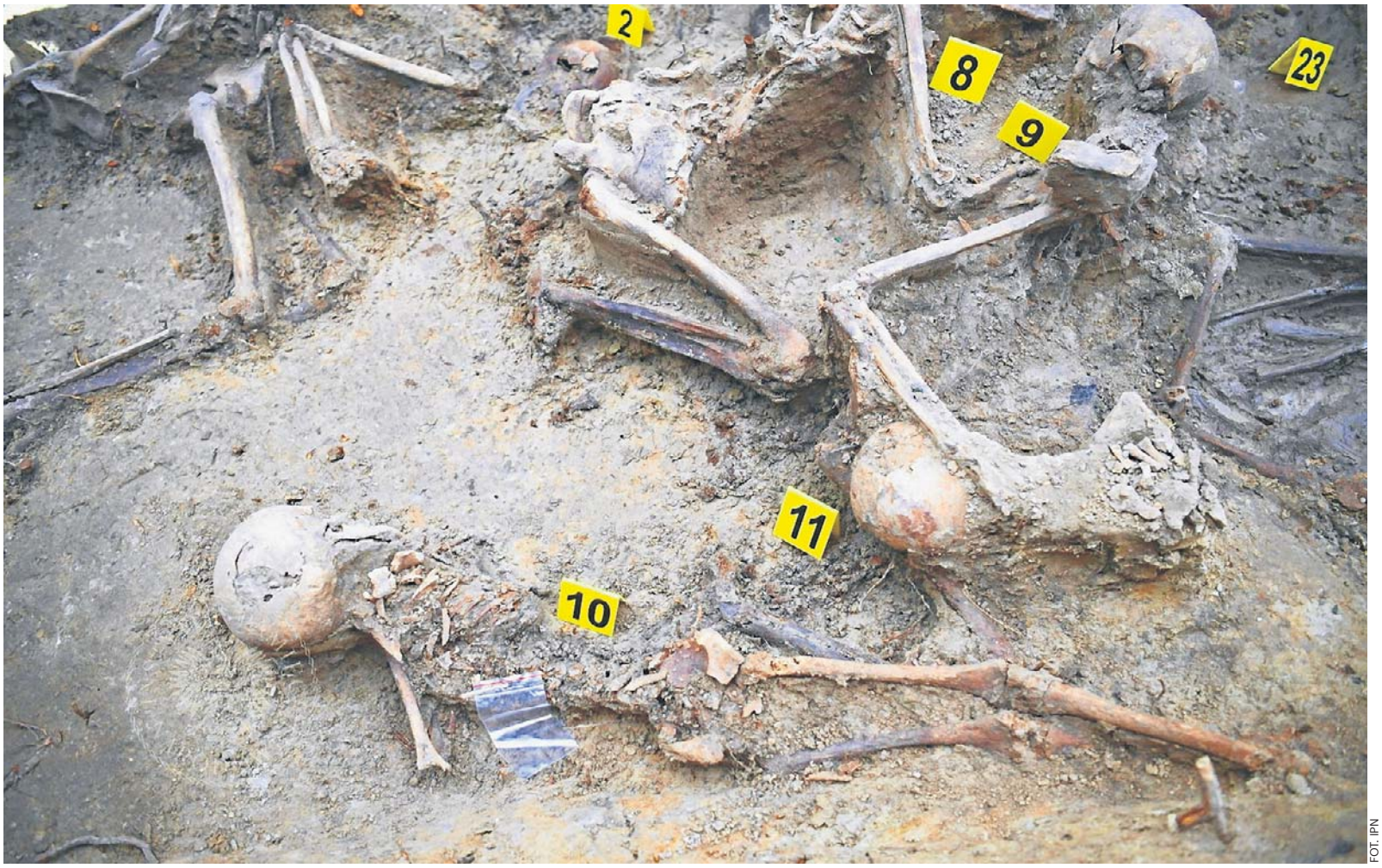

FOT. IPN

Karol Polejowski: Kompletowania szczątków dokonuje się na miejscu prac, co pozwala określić wiek, płeć i metodę zabójstwa

Mija ponad 80 lat od ludobójstwa dokonanego na Polakach na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Polska opinia publiczna od lat przypomina o tych dramatycznych wydarzeniach, jednak na arenie międzynarodowej temat ten spotyka się jedynie z umiarkowanym zainteresowaniem. Ostatnie wydarzenia, związane ze skandalicznym gloryfikowaniem zbrodniarzy z UPA przez stronę ukraińską, wywołały jednak szerokie kontrowersje. Czy mogły one przyczynić się do większego nagłośnienia tej kwestii, a nawet do swoistego przełamania milczenia i zainteresowania nią opinii międzynarodowej? Bo przecież nie zapominajmy, że wśród ofiar byli nie tylko Polacy, byli też Węgrzy, Czesi, Żydzi.

Tak, rzeczywiście po tym kroku, który wykonał prezydent Wołodymyr Zełenski, nadając imię tak zwanych „bohaterów UPA" jednej z jednostek ukraińskiej armii, sprawa zyskała wymiar międzynarodowy. To wydarzenie oraz reakcja strony polskiej, przede wszystkim pana prezydenta Karola Nawrockiego, który odebrał Order Orła Białego prezydentowi Zełenskiemu, spowodowały, że zainteresowanie zbrodnią wołyńską na Zachodzie wzrosło w sposób wykładniczy. Mamy do czynienia z nieznanym dotąd zjawiskiem, sytuacją, w której większość odbiorców zachodnich po raz pierwszy usłyszała o ludobójstwie dokonanym przez ukraińskich nacjonalistów. Na konferencję prasową podsumowującą dotychczasowe prace ekshumacyjne w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej, która odbyła się 28 lipca na Ukrainie, oprócz polskich dziennikarzy przybyli również przedstawiciele mediów zachodnich, m.in. z „Le Figaro", dziennikarze z USA, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Włoch. To jest rzecz, która pozwala nam mówić o tym, że zbrodnia wołyńska, która do tej pory nie funkcjonowała w świadomości społeczeństw zachodnich, nagle stała się przedmiotem bardzo żywego zainteresowania.

Wiele mówi się o stronie ukraińskiej, że opóźniała, przeszkadzała w pracach ekshumacyjnych. Teraz z kolei szerszą współpracę deklaruje prezydent Zełenski, m.in. otwarcie archiwów, chociaż pewnie one były w tej części i tak otwarte. Czy ta deklaracja woli przekłada się na praktykę? Bo wiadomo: Kijów Kijowem, natomiast tereny Wołynia są dość daleko od stolicy.

Przede wszystkim na razie jesteśmy w sferze deklaratywnej strony ukraińskiej. Czekamy na to, aby rozpatrzono 14 naszych wniosków, które od ubiegłego roku są w Kijowie. Te wnioski, które zostały uwzględnione do tej pory, to sprawy, które już zrealizowaliśmy – np. ekshumację polskich żołnierzy, obrońców Lwowa z września 1939 r., w Zboiskach. Pogrzeb odbył się jesienią zeszłego roku w Mościskach, na polskiej kwaterze tamtejszego cmentarza. Przygotowujemy się do podjęcia w sierpniu szczątków polskich żołnierzy, też z września 1939 roku, z Hołoska, które dzisiaj jest w granicach Lwowa. I to są te dwa zezwolenia na ekshumację szczątków polskich żołnierzy. Są także dwie zgody wydane przez stronę ukraińską na poszukiwanie ekshumacji ofiar zbrodni wołyńskiej. Wiosną prowadziliśmy poszukiwania w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej oraz w Hucie Pieniackiej. W obu przypadkach udało się zlokalizować miejsca, w których spoczywają szczątki pomordowanych Polaków. Bezpośrednio po zakończeniu prac w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej złożyliśmy kolejny wniosek o zgodę na przeprowadzenie ekshumacji w Hucie Pieniackiej. Takie są obowiązujące na Ukrainie procedury – pozwolenie obejmuje zarówno prowadzenie prac ekshumacyjnych, jak i późniejszy pochówek odnalezionych ofiar. Już jesteśmy w trakcie przygotowań do wydarzenia. Uroczysty pochówek ofiar z Ostrówek i Woli Ostrowieckiej odbędzie się 30 sierpnia na cmentarzu w Ostrówkach.

Co decyduje o tym, że IPN stwierdza, że właśnie w tym miejscu należy prowadzić prace ekshumacyjne? Jak wygląda misja rekonesansowa?

Przede wszystkim decydują o tym zgody wydane przez stronę ukraińską.

A z punktu widzenia badawczego? Czy to ślady, wzgórza przypominające mogiły, badania w gruncie, czy także opieracie się na dokumentach, które mówią, że między pewnymi miejscowościami banda ukraińska zapędziła grupę mieszkańców i dokonała egzekucji? Czy to może suma takich czynności?

Gros prac przygotowawczych jest wykonanych tutaj, w Polsce. Zanim wyjedzie ekipa, żeby zrealizować zezwolenie na poszukiwania, przygotowujemy się, zbierając wszystkie dostępne informacje na temat danej miejscowości, tego, co się działo tam w roku 1943, 1944 czy 1945. Wykorzystujemy więc dokumenty, źródła, relacje świadków, zdjęcia, poszukujemy zdjęć lotniczych wykonywanych chociażby przez Niemców w roku 1943 czy 1944. One są dostępne, więc z nich też korzystamy, a więc przygotowujemy się merytorycznie. Kiedy dostajemy zezwolenie na poszukiwania, wszystkie etapy prac konsultujemy ze stroną ukraińską, i dopiero

eprasa.pl 0b30b0837f

wówczas ustalamy termin, skład i wyruszamy.

To też nie jest chyba takie łatwe, bo to nie jest tak, że prezydent Ukrainy mówi: „udzielam zezwolenia", tylko jest to zapewne żmudna, biurokratyczna droga.

Tak, to jest procedura, której pierwszy etap odbywa się na poziomie administracji obwodowej, a potem decyzję wydaje, jeśli chodzi o poszukiwania, międzyresortowa komisja pod egidą Ministerstwa Kultury Ukrainy. Wtedy, mając wszelkie zezwolenia, realizujemy prace przy współpracy naszego ukraińskiego partnera. Jedziemy już w konkretne miejsca, wiemy, gdzie chcemy szukać. Jeśli chodzi o ofiary zbrodni wołyńskiej, to do tej pory wszystkie te nasze wyjazdy zakończyły się sukcesem: Ostrówki, Wola Ostrowiecka, Huta Pieniacka. A miejmy świadomość, że prace prowadzimy w terenie, gdzie kiedyś były polskie osady, a obecnie są to w większości przypadków pola, lasy, zagajniki, pastwiska. Po wymordowaniu polskiej ludności te miejscowości zostały po prostu zrównane z ziemią. Musimy mieć plan danej miejscowości sprzed 1939 roku. Nakładamy go na dzisiejszą mapę terenu i na podstawie uzyskanych wcześniej informacji ustalamy miejsce zbiorowych dołów śmierci. Wykonujemy pierwsze prace terenowe, odkrywamy wierzchnią warstwę gleby, aby potwierdzić, że ziemia ta kryje szczątki pomordowanych. Najczęściej te szczątki leżą bardzo płytko. Trzydzieści, czasami czterdzieści centymetrów pod powierzchnią gruntu. Chociażby w Ostrówkach, gdzie byliśmy we wtorek 28 lipca, jest taka oto sytuacja, że wiosną odkryliśmy miejsce, gdzie znajduje się głębszy dół śmierci. Obecnie to jest pole, na którym rosną słoneczniki. Dlatego właśnie trzeba mieć bardzo precyzyjne informacje, żeby wiedzieć, w którym miejscu szukać. W przeciwnym wypadku mielibyśmy do zbadania dziesiątki hektarów pustego terenu.

Bez charakterystycznych punktów orientacyjnych.

Żadnych. Dlatego tak ważne są relacje świadków, którzy przeżyli. Bo oni wiedzą, gdzie stał kościół. Gdzie stała szkoła. Gdzie było jedno gospodarstwo, w którym na przykład dokonano mordu na kilkuset Polakach. Ale dzisiaj nie ma tam nic. Gdy odkrywamy te miejsca, identyfikujemy, że w tym miejscu są szczątki pomordowanych, nie możemy rozpocząć pracy ekshumacyjnej, tylko musimy zasypać odkryte doły śmierci, oznaczyć je, wrócić do Polski i złożyć kolejny wniosek – tym razem na ekshumację. Jest to dosyć żmudna, długotrwała procedura. W tym roku pojawiła się nadzieja, że strona ukraińska przyspieszy całą procedurę. Czekamy na realizacje tej zapowiedzi. Po powrocie z Ostrówek i Woli Ostrowieckiej, gdzie zlokalizowaliśmy kilka miejsc, gdzie są te szczątki, strona ukraińska bardzo szybko wydała zgodę na ekshumację. Dlatego można było przeprowadzić ją jeszcze w tym roku. Prace trwały do 7 sierpnia.

W składzie ekipy prowadzącej ekshumacje są archeolodzy oraz antropolodzy?

Są archeolodzy, antropolodzy, specjalista medycyny sądowej. Wydobywamy szczątki, ale także artefakty, które przy tych szczątkach się znajdują. Nie jest ich wiele.

Być może są w innych miejscach? Bo nie wszystkie egzekucje następowały w miejscu zamieszkania ofiar?

Tak, oni byli najczęściej pędzeni w jedno miejsce i tam byli mordowani. Trzeba to też wprost powiedzieć, byli też ograbiani. Także polskie domy były grabione, potem palone, równane z ziemią. Znajdujemy medaliki, różańce, drobne przedmioty osobiste, ale czasami znajdujemy też narzędzia zbrodni, bo po zamordowaniu Polaków, kiedy ich chowano w dołach śmierci, po prostu wrzucano tam również czasami narzędzia, którymi ich mordowano. W Woli Ostrowieckiej znaleźliśmy szpadel, który leżał obok jednej z ofiar.

Były jeszcze ślady krwi?

Nie, została tylko rdza. Trudno wyobrazić sobie, aby ktoś został zamordowany, trzymając w ręku szpadel. Bardzo niewiele z tych osób ekshumowanych, wydobywanych z dołów śmierci ma zachowane elementy ubrania, a w kilku przypadkach zachowały się resztki obuwia. To robi niezwykle silnie oddziaływające wrażenie na osoby, które tam pracują i widzą, że tymi jedynymi śladami takiego ubioru są pozostałości po obuwiu. Ale są też medaliki z polskimi napisami – to daje nam absolutną pewność, że ci, których odnajdujemy, to są Polacy.

To są tylko mężczyźni, czy też kobiety i dzieci?

W Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej do końca etapu prac podsumowanego na konferencji prasowej, wydobyliśmy z dołów śmierci 49 osób. Będzie ich więcej oczywiście, bo prace ekshumacyjne trwają. Możemy jednak powiedzieć, że wśród tych 49 osób około 40 proc. to są dzieci. W najmniejszej liczbie to dorośli mężczyźni.

Wraz z odkrywaniem kolejnych szczątków pobieracie materiał do badań genetycznych, aby ustalić tożsamość ofiar. Jak wygląda taka procedura?

Te procedury funkcjonują od czasu, kiedy przeprowadziliśmy pierwsze ekshumacje na Wołyniu, ale wtedy ta technologia była w powijakach, a co za tym idzie, niezwykle droga. Obecnie sytuacja wygląda inaczej. Stałym elementem naszych działań jest pobieranie materiału genetycznego wszędzie tam, gdzie prowadzimy prace – zarówno w Polsce, jak i za granicą – i odnajdujemy szczątki ofiar, w tym ofiar ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu oraz na terenach południowo-wschodniej II Rzeczypospolitej. Wynika to również z przepisów ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, która zobowiązuje prezesa IPN do prowadzenia bazy materiału genetycznego. Dlatego każdorazowo pobieramy próbki DNA i wprowadzamy je do bazy.

Ze szczątków znalezionych, prawda?

Z ekshumowanych szczątków. Nieprzerwanie szukamy członków rodzin, potomków, którzy byliby skłonni oddać swój materiał genetyczny do badań porównawczych. Chciałbym wystosować apel do tych, którzy są krewnymi ofiar zbrodni ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu i w województwach wschodnich II Rzeczypospolitej, aby zgłaszali się do Instytutu Pamięci Narodowej i przekazali materiał genetyczny. To absolutnie bezbolesne, rozwiewam wszelkie wątpliwości. Pobranie takiego materiału genetycznego trwa krótko i jest on wprowadzany do bazy ze wszystkimi restrykcjami związanymi z ochroną tych danych, bo to są oczywiście dane wrażliwe. To ma dać nam później materiał porównawczy do identyfikowania tych ofiar, bo przecież każda z nich miała własne imię, nazwisko, urodziła się, żyła na tamtym terenie i bestialsko została zamordowana przez ukraińskich nacjonalistów.

Rozumiem, że także mogą się zgłaszać osoby, które nie mają wiedzy co do losów ich przodków, ale jest wiedza z przekazów rodzinnych o tym, że ich przodkowie gdzieś tam żyli, byli w tamtych terenach, bądź zaginęli.

Tak, tutaj nie ma takiego ograniczenia. Po niedawnej deklaracji prezydenta Zełenskiego zakładamy, że dojdzie do bardzo szerokiego otwarcia w wydawaniu zgód na poszukiwania oraz ekshumacje. Zakładam, że tych prac będziemy prowadzić o wiele więcej, niż miało to miejsce do tej pory. A więc jeszcze raz apeluję, aby zgłaszać się do Instytutu. Przecież pamięć o zbrodniach ukraińskich nacjonalistów, o mordowaniu całych wsi przez upowców jest przechowywana w rodzinach tych, którzy uszli z życiem. Ta pamięć przetrwała przede wszystkim w rodzinach tych, którzy zostali stamtąd wypędzeni i po wojnie trafili do Polski pojałtańskiej. Wspomnienie tamtych wydarzeń było w nich żywe przez kolejne pokolenia. Oczywiście w okresie PRL komuniści, prowadząc politykę historyczną diametralnie różną od współczesnej, również posługiwali się „argumentem banderowskim", jednak czynili to w zupełnie innym celu. Dopiero w wolnej Polsce możliwe stało się pełne i otwarte mówienie o tych zbrodniach. Ogromne zasługi ma w tym Instytut Pamięci Narodowej, który działa już od ponad ćwierć wieku, obok środowisk kresowych, które przez lata przechowywały pamięć o ofiarach i tych wydarzeniach. Dziś jesteśmy w momencie, w którym rozwój nauki i technologii pozwala nam identyfikować ofiary ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na Polakach.

Rozumiem, że to nie wymaga żadnych opłat ze strony osób, które oddają swój materiał? Czy robicie też coś w rodzaju wywiadu, kwestionariusza, żeby uprawdopodobnić chociaż, skąd może pochodzić ta rodzina, o których terenach mowa?

Oczywiście żadnych opłat nie pobieramy. Przy okazji robiony jest krótki wywiad historyczny. Te rodziny, które mieszkają w Polsce, wiedzą, gdzie mieszkali ich przodkowie. Pozwala nam to zawęzić obszar, gdzie będziemy prowadzić genetyczne badania porównawcze. Dodałbym jeszcze jedną kwestię, ponieważ pan redaktor pytał o to, w jaki sposób zbieramy informacje. Przede wszystkim opieramy się na pracy historyków analizujących materiały źródłowe. Od 2023 roku publikujemy kolejne tomy dokumentów dotyczących zbrodni wołyńskiej. Niedawno ukazał się tom trzeci, a w przygotowaniu są kolejne – czwarty i piąty, być może nie ostatnie. Równolegle prowadzimy również internetową bazę ofiar ludobójstwa: zbrodniawolynska.pl. Znajdziemy w niej wykaz miejsc oraz ofiar zbrodni. Zawiera już 50 tysięcy wpisów. Uzupełniamy ją, korygujemy, poprawiamy dane, bo cały czas pojawiają się nowe dokumenty. Nie jest zaskoczeniem, że ten projekt dokumentacyjny cieszy się gigantycznym zainteresowaniem. W obliczu ostatnich wydarzeń w relacjach polsko-ukraińskich odnotowujemy niezwykle szybki wzrost użytkowników, którzy zapoznają się z zamieszczonymi tam materiałami. Można też znaleźć tam interesujące filmy dokumentalne i wywiady. Drugi element, o którym trzeba wspomnieć, to śledztwa prowadzone w Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Prokuratorzy zgromadzili dziesiątki tysięcy świadectw, dokumentów. Wszystko to, co jest konieczne, aby postępowanie prokuratorskie mogło się toczyć. Są także relacje świadków. Tych mamy naprawdę bardzo dużo i oczywiście musimy zawsze je weryfikować, bo czasami te relacje są składane po kilkudziesięciu latach, zacierają się pewne fakty, pewne okoliczności i to wymaga oczywiście dodatkowej pracy, którą wykonujemy.

Proszę powiedzieć, jak na to reaguje miejscowa ludność? Czy spotykacie się z inną reakcją niż w przypadku władz centralnych?

To zależy od okoliczności. Na miejscach zbrodni często nie ma osadnictwa ukraińskiego. Te wsie nie zostały ponownie zasiedlone przez Ukraińców, którzy mieszkają w miejscowościach oddalonych o kilka, kilkanaście kilometrów od byłych polskich osad. Ale wcześniej zdarzało się oczywiście, że spośród ludności miejscowej ktoś przyszedł porozmawiać z Polakami. Ktoś coś opowie, bo pamięć wśród tych Ukraińców, którzy tam mieszkają, jest i oni przechowują w pamięci to, co się działo w pierwszej połowie lat 40. Nie jest to jednak masowy udział miejscowej ludności w tych pracach. Z czego wynika to utrzymywanie dystansu? Nie rozstrzygam, nie wiem, nie badaliśmy tego.

Czy stan szczątków pozwala na pobranie próbek do badań? Czy badacz tam na miejscu jest w stanie określić, że te szczątki należą do jednej osoby?

Po wydobyciu szczątków, po ich oczyszczeniu, natychmiast separujemy je. W takim sensie, że szczątki należące do jednej osoby są składane w jedną trumienkę i na tej podstawie później dokonuje się oględzin. Czyli kompletowania szczątków dokonuje się na miejscu prac, co pozwala określić wiek, płeć i metodę zabójstwa.

Czy te materiały DNA zbieracie jeszcze w fazie tej odkrywczej, przed ekshumacją?

Tak, próbki DNA są pobierane przy oględzinach, natychmiast. Nie ma z tym żadnego problemu, ale muszę od razu naświetlić inny problem, który pojawia się przy innych ekshumacjach. W przypadku Ostrówek i Woli Ostrowieckiej szczątki są kompletne. Nie było naruszeń miejsc, w których złożono ciała pomordowanych. Jednak bywa i tak, że ofiary były zakopywane na jakimś polu, które później było użytkowane. Niejednokrotnie

eprasa.pl 0b30b0837f

WYWIAD

podczas prac polowych dochodziło do wydobycia na powierzchnię pojedynczych kości.

Tym bardziej, że Pan powiedział, że były dość płytko zakopywane.

I wtedy zdarzało się tak, że miejscowi po prostu zbierali to, co wykopali, w jeden worek i zakopywali w innym miejscu. I tu o wiele trudniej przypisać szczątki do konkretnych ofiar, ale nad tym też oczywiście pracujemy i to dotyczy nie tylko poszukiwań i ekshumacji na Ukrainie. W przypadku Ostrówek i Woli Ostrowieckiej odnajdujemy kompletne szczątki, widać, jak są poukładane w dołach śmierci, więc nie mamy problemu z przypisaniem szczątków do konkretnych, jednak do czasu przeprowadzenia identyfikacji, nieznanych z imienia i nazwiska osób.

FOT. IPN

Karol Polejowski: Każdorazowo pobieramy próbki DNA i wprowadzamy je do bazy

Jakie plany ma IPN co do kolejnych poszukiwań, czy też wniosków o prace poszukiwawcze lub ekshumacyjne?

W latach 2025-2026 jak do tej pory Instytut Pamięci Narodowej otrzymał dwie zgody na przeprowadzenie ekshumacji żołnierzy poległych we wrześniu 1939 roku (Lwów-Zboiska i Lwów-Hołosko), oraz dwóch prac poszukiwawczych ofiar zbrodni wołyńskiej (Ostrówki i Wola Ostrowiecka oraz Huta Pieniacka) i jedną zgodę na prace ekshumacyjne, które jak wcześniej zaznaczyłem, prowadzimy na terenie byłych wsi Ostrówki i Wola Ostrowiecka. Do tego należy dodać prace realizowane przez inne podmioty. W Puźnikach, gdzie poszukiwania prowadzili przedstawiciele Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego wraz z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego, nasi przedstawiciele uczestniczyli w tych pracach jako obserwatorzy. Eksperci z PUM i MKiDN zlokalizowali tam jedynie część pochówku w miejscu określanym jako dół śmierci. Podczas kolejnej ekspedycji nie udało się natomiast odnaleźć drugiej części tego miejsca. W tym samym charakterze uczestniczyliśmy w zakończonych niepowodzeniem pracach poszukiwawczych w nieistniejącej już miejscowości Ugły.

A jak by Pan określił rolę partnerów z ukraińskiego IPN-u, czy to jest rzeczywiście merytoryczna współpraca, czy tam też dochodzi do pewnego rodzaju obstrukcji?

Jeśli chodzi o naszych ukraińskich partnerów, to są nimi przedstawiciele firm działających na Ukrainie. W przypadku Ostrówek i Woli Ostrowieckiej to jest przedsiębiorstwo „Wołyńskie Starożytności" Aleksego Złotogorskiego. Przepisy prawne na Ukrainie wymagają, aby w sprawach administracyjnych przed władzami ukraińskimi występowały podmioty ukraińskie. W przypadku prac poszukiwawczych i ekshumacyjnych ofiar zbrodni wołyńskiej Instytut reprezentuje ta wyspecjalizowana firma. Jeśli chodzi o ukraiński Instytut Pamięci Narodowej, jest to niewielka instytucja, która ostatnio została wyposażona w dodatkowe kompetencje. Od niedawna to ona wydaje zgody na ekshumację i pochówki, natomiast zgody na poszukiwania pozostały przy Ministerstwie Kultury Ukrainy. Szef ukraińskiego IPN-u Ołeksandr Ałfiorow wyraźnie wskazuje, że władze ukraińskie są zdeterminowane do tego, aby przekazać całość kwestii decyzyjnych w ręce ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej. Kilkakrotnie spotykałem się już przy różnych okazjach z szefem UIPN, który deklaruje daleko idącą chęć współpracy, ale póki co na razie są to tylko deklaracje.

Czy nie jest tak, że np. strona ukraińska nie wydaje zgód, bo nie ma mocy przerobowych, albo nasz IPN nie może np. aż w takiej skali prowadzić tych poszukiwań?

Mogę zadeklarować, że tyle zgód, ile otrzymamy, tyle prac zrealizujemy. Tylko musimy pamiętać o kilku istotnych czynnikach. Pierwszy jest taki, że jednak obowiązuje nas procedura ukraińska. My i tak musimy uzyskać wszystkie zgody związane z danym terenem. Musimy zapewnić infrastrukturę techniczną, która pozwoli nam na dynamiczne prowadzenie tych prac. Kolejny element – Ukraina jest w stanie wojny i musimy przede wszystkim dbać o bezpieczeństwo tych, którzy tam pracują. Muszę podkreślić, że wszyscy nasi pracownicy i współpracownicy, którzy decydują się na wyjazd na Ukrainę, robią to ochotniczo. Kierując Instytutem Pamięci Narodowej, nikomu nie mogę kazać tam jechać. Oni chcą jechać, dlatego dla mnie to są bohaterowie. Ta postawa wynika z szacunku dla tych, którzy pomimo trudnej sytuacji na Ukrainie decydują się tam pojechać. Co roku jestem również na Ukrainie, biorę udział w uroczystościach. Teraz byliśmy w Ostrówkach i w Woli Ostrowieckiej. Po raz pierwszy zorganizowaliśmy konferencję prasową, gdyż prowadzimy otwartą politykę informacyjną. Każda redakcja, która chce się pojawić, aby zrobić materiał, może to zrobić przy współpracy z naszej strony. Poza kwestiami bezpieczeństwa, jeszcze raz to podkreślę, nie ma żadnych obostrzeń, jeśli chodzi o przybycie i relacjonowanie czy dokumentowanie naszych prac.

Jak Pan szacuje – jak wynika z Państwa kwerend – ile jest jeszcze takich miejsc, które Instytut by chciał zbadać?

Jesteśmy zainteresowani każdym miejscem, w którym mogą znajdować się szczątki naszych przodków. Ich odkrywanie zależy od tempa wydawania decyzji przez stronę ukraińską. Na samym Wołyniu, czyli na terenie byłego województwa wołyńskiego, z powierzchni ziemi zniknęło około 1500 polskich osad. W większości z nich dokonywano zbrodni. Proszę też pamiętać o tym, że albo tak jak w Woli Ostrowieckiej czy Ostrówkach, czy w Hucie Pieniackiej, są to miejsca, gdzie spoczywa po kilkuset zamordowanych. Jednak wiele miejsc to osady, w których ukraińscy nacjonaliści mordowali pojedynczo lub niewielkie grupy Polaków. Te miejsca też musimy odnaleźć. W wielu przypadkach tych pojedynczych mordów czy niewielkiej grupy osób zamordowanych nie pozostały żadne ślady. Nigdzie nie ma żadnego zapisu, nie było świadków. Ci, którzy mordowali, oczywiście nigdy o tym później nie mówili, więc zdajemy sobie sprawę, jak trudne to będą poszukiwania. Czasami pozostały jakieś resztki fundamentów jakichś budynków, wtedy pozwala to nam, jak w przypadku Huty Pieniackiej, łatwiej zidentyfikować miejsce, którego szukamy, tam w terenie. Ale mamy świadomość tego, że są takie miejsca, które będzie bardzo trudno odnaleźć.

Panie prezesie, oczywiście równolegle prowadzicie poszukiwania w Polsce ofiar reżimu komunistycznego z lat 40. i 50. Ostatnio udało się zidentyfikować szczątki sierż. Mieczysława Dziemieszkiewicza, ps. „Rój". Jakie są perspektywy na identyfikację innych ofiar?

Powrócimy po wszystkich tych, którzy oddali życie za wolną Polskę. W dalszym ciągu poszukujemy ofiar, także i tych, których Niemcy wymordowali. To chociażby działania Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, odnalezienie miejsca, gdzie Niemcy spalili i pochowali wielu polskich jeńców w Działdowie czy chojnickiej Dolinie Śmierci. Oczywiście nadal prowadzimy prace identyfikacyjne szczątków, które zostały ekshumowane na terenie tzw. Łączki na warszawskich Powązkach. Z tym miejscem wiąże się przypadek komendanta „Roja". Proces dochodzenia do ostatecznej jego identyfikacji był długotrwały. Po wydobyciu szczątków, wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że należą do „Roja", przypuszczaliśmy, iż pochodzą od ofiary zabitej w 1951 r., gdyż była to część kwatery, gdzie chowano pomordowanych w 1951 r. Dziemieszkiewicz został ekshumowany z elementami umundurowania, które pozwoliły wysunąć tezę, że to właśnie on. Były to np. resztki beretu z charakterystycznym orzełkiem, który został uwieczniony na wielu zdjęciach. Jednak to nie dawało stuprocentowej pewności. Następnie podjęliśmy próbę zidentyfikowania tych szczątków, pobierając materiał genetyczny od dalszych krewnych komendanta. Ale to również nie dało jednoznacznej odpowiedzi. Im dalsze pokrewieństwo, tym trudniej jest potwierdzić tożsamość ofiary. Jednak w maju tego roku prokurator prowadzący postępowanie uzyskał zgodę rodziny na pobranie materiału genetycznego z ciał matki i siostry. Po analizie tego materiału genetycznego identyfikacja nastąpiła bardzo szybko. Już 6 lipca został podpisany protokół o identyfikacji niebudzącej najmniejszych wątpliwości. To jest prawdopodobieństwo na poziomie 99,9, czyli w przypadku genetyki to jest właściwie stuprocentowa pewność. Nadal poszukujemy innych naszych bohaterów walki o niepodległość i będziemy starać się ich zidentyfikować. Myślę tu przede wszystkim o rotmistrzu Witoldzie Pileckim czy gen. Emilu Fieldorfie „Nilu" i innych bohaterach walki ze zniewoleniem komunistycznym. My tę misję będziemy realizować w sposób stały, ciągły i nigdy z niej nie zrezygnujemy.

FOT. IPN

CV

dr hab. Karol Polejowski
Historyk, mediewista, doktor habilitowany nauk humanistycznych. Od 2021 zastępca prezesa Instytutu Pamięci Narodowej.

eprasa.pl 0b30b0837f

KINO

To film o miłości silniejszej niż strach

„Nasza rewolucja" to film fabularny inspirowany historią Grażyny i Jacka Kuroniów. Premierę zaplanowano na 11 listopada - datę symboliczną dla opowieści o wolności, odpowiedzialności obywatelskiej i ludziach, którzy współtworzyli drogę Polski do demokracji

Paweł Gzyl

„Nasza rewolucja" opowiada o Grażynie (zwanej Gajką) i Jacku Kuroniach - parze, której życie prywatne nierozerwalnie splatało się z historią Polski. Choć Jacek Kuroń zapisał się w pamięci Polaków przede wszystkim jako opozycjonista, współzałożyciel Komitetu Obrony Robotników i jeden z architektów demokratycznych przemian po 1989 roku, film odkrywa go z perspektywy, której dotąd poświęcano niewiele uwagi. To opowieść o człowieku bezgranicznie zakochanym, dla którego miłość była równie ważna jak wolność. O uczuciu, które pomagało przetrwać rozstania, represje i niepewność przyszłości.

On - charyzmatyczny, bezkompromisowy, gotowy poświęcić wszystko dla wolności. Ona - odważna, ciepła i niezwykle silna. Ich mieszkanie staje się w latach 70. i 80. miejscem spotkań opozycji demokratycznej, a codzienność - nieustannym balansowaniem między miłością, walką i strachem. Jacek Kuroń w swoich listach pisał: „Wiem na pewno, że tylko z miłości dwojga ludzi płynie siła miłości do ludzkiego świata". Zgodnie z tą ideą relacja Kuroniów stała się sercem filmu i punktem wyjścia do opowieści o wolności, solidarności i odpowiedzialności. - „Nasza rewolucja" to przede wszystkim opowieść o wielkiej miłości - takiej, która daje siłę, by przetrwać najtrudniejsze momenty i nie stracić wiary w drugiego człowieka. Jednocześnie jest to historia ludzi głęboko przekonanych, że wolność i godność należą się każdemu, niezależnie od czasów, w których przyszło mu żyć. Wierzę, że opowiadamy o tych wartościach w sposób emocjonalny, bliski i uniwersalny dla współczesnego widza - mówi Robert Kijak, producent filmu.

FOT. FOT. ANNA WOŁOCH

Magdalena Popławska i Arkadiusz Jakubik w filmie „Nasza rewolucja". Premierę zaplanowano na 11 listopada

- Nie budujemy pomnika Jackowi, zamiast tego opowiadamy historię dwojga ludzi, którzy wierzyli, że świat można zmieniać razem i za tę wiarę płacili wysoką cenę. W tle ich relacji rozgrywają się wydarzenia, które zmieniły bieg polskiej historii: protesty robotnicze, działalność opozycyjna, więzienia, internowania i stan wojenny. W centrum pozostaje jednak uczucie, które pozwalało przetrwać najtrudniejsze momenty - dodaje reżyser „Naszej rewolucji" Piotr Domalewski.

W roli Jacka Kuronia zobaczymy na ekranie Arkadiusza Jakubika. To charyzmatyczny aktor, który ma w swym dorobku przede wszystkim występy w filmach Wojciecha Smarzowskiego. Grażynę Kuroń zagrała Magdalena Popławska, ceniona aktorka teatralna, szerszej widowni znana z serialu „Osiecka" czy filmu „Teściowie 3".

- Pamiętam moje rozmowy z reżyserem i producentem, żeby Jacka nie pokazywać jako świętego, jako bohatera, tylko żeby przemycić najwięcej tych niefajnych rzeczy, co było w nim pod spodem. To dla mnie jako człowieka, jako aktora i potencjalnego widza jest najciekawsze. I nie powiem nic odkrywczego, ale po tym filmie została mi jedna rzecz, jakkolwiek banalnie to zabrzmi, miłość jest najważniejsza - podkreśla Arkadiusz Jakubik.

REKLAMA 0011571698

TOLEK®
Rehabilitacyjne Rowery Trójkołowe

Rowery mogą być z napędem elektrycznym

Rower jako wyrób medyczny jest częściowo refundowany przez Centrum Pomocy Rodzinie oraz serwis gwarancyjny i pogwarancyjny

ROWERY POLECANE SĄ:
- Osobom z niedowładem nóg z napędem ręcznym
- Nieumiejącym jeździć na rowerze dwukołowym
- Osobom Starszym mniej sprawnym ruchowo
- Dzieciom
- Osobom z zachwianiem równowagi

Więcej informacji: www.rowertolek.pl
e-mail: biuro@rowertolek.pl
adres: ul. 3 Maja 2A, 87-850 Choceń k. Włocławka
tel. 54 284 65 40 Emilia | kom. 723 881 675 Michał
kom. 600 790 138 Teofil | kom. 600 467 513 Anna

To jest wyrób medyczny. Używaj go zgodnie z instrukcją używania lub etykietą

REKLAMA 0011570172

eprasa.pl 0b30b0837f

JAK ZABIJAJĄ ROSJANIE?

Reżim Putina używa wielu narzędzi do mordowania wrogów za granicą

W mieszkaniu na Mokotowie znaleziono martwego rosyjskiego uchodźcę politycznego. Przyczyny zgonu opozycjonisty Siergieja Własienki są ustalane. Czy były naturalne, czy stał się on kolejną ofiarą putinowskich szwadronów śmierci? Rosyjski reżim od wielu lat ściga i morduje swych przeciwników daleko poza granicami kraju. Używa też do tego coraz bardziej wymyślnych metod

Grzegorz Kuczyński

Rosyjski opozycjonista Siergiej Własienko – który po rozpoczęciu pełnoskalowej wojny przeciwko Ukrainie wyjechał z Rosji do Polski i uzyskał azyl polityczny - został znaleziony martwy w mieszkaniu na Mokotowie. Na tym etapie nic nie wskazuje na to, by do zgonu mężczyzny przyczyniło się działanie lub zaniechanie innych osób - poinformował PAP w środę rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie prok. Piotr Antoni Skiba. Więcej powie sekcja zwłok i badania toksykologiczne. Te ostatnie to powinna być już norma w przypadku podejrzanych zgonów osób uważanych przez Moskwę za wrogów...

FOT. ANDREW MATTHEWS/PRESS ASSOCIATION/EAST NEWS

Salisbury, 2018 rok. Śledztwo ws. zamachu na Skripala

Truciciele z Rosji

Trucizn różnej maści państwo moskiewskie używało już wobec swych wrogów w XVII wieku. Ostatnio, dzięki osiągnięciom nauki, Rosja korzysta z bardzo zaawansowanych typów tej broni. Skąd to upodobanie trucicielskie? Może to kwestia piętna cywilizacyjnego, jakie odcisnęły na Rusi moskiewskiej rządy Ordy. Tak czy owak, lista ofiar rosyjskich trucicieli do krótkich nie należy. I coraz częściej kilerzy używają środków chemicznych, nie biologicznych, naturalnych niejako.

Najgłośniej było oczywiście o zamordowaniu Aleksandra Litwinienki przy użyciu radioaktywnego polonu w 2006 roku. Były oficer służb umierał w wielkich męczarniach i bardzo późno Brytyjczycy zorientowali się, co jest przyczyną śmiertelnej choroby. Za późno. To był szok dla zachodniej opinii publicznej. Po 20 latach chyba się wszyscy przyzwyczailiśmy do tego typu zamachów.

A przecież rosyjskie służby są zdolne używać także bardziej naturalnych środków zabójczych. Choćby historia Aleksandra Pieriepielicznego. Biznesmen rosyjski powiązany ze sprawą Magnitskiego, ważny świadek w szwajcarskim śledztwie dotyczącym prania pieniędzy przez banki i służby rosyjskie, zmarł nagle w 2012 roku – na emigracji w Wielkiej Brytanii. Okazało się, że otruto go wyciągiem z nasion rośliny o nazwie Gelsemium elegans. A truciznę podano zapewne dzień wcześniej, w jednej z paryskich restauracji, gdzie się wybrał z Wysp. Zamach przeprowadzono tak, że zgon nastąpił dopiero następnego dnia w sposób nagły. Co oczywiście utrudniło ustalenie, gdzie i kiedy podano truciznę.

Nowiczok wkracza na scenę

Jednak, gdy mowa o zamachach rosyjskich poza granicami kraju, najczęściej pojawia się słowo „nowiczok". Chemiczna trucizna, wyprodukowana w laboratoriach jeszcze sowieckich, wprowadzona do użycia za czasów Putina. W 2018 roku przy jej użyciu chciano zamordować Siergieja Skripala, b. oficera służb sowieckich/rosyjskich, który poszedł na współpracę z Zachodem i ostatecznie znalazł schronienie w Wielkiej Brytanii (ciekawe, tak samo jako wymienieni wcześniej Litwinienko i Pieriepielicznyj). Ostatecznie Skripal uniknął śmierci, bo zamachowcy nie wzięli pod uwagę czynnika atmosferycznego. Posmarowali morderczym żelem klamkę drzwi wejściowych do domu Skripala w dniu, gdy była wyjątkowo duża wilgotność powietrza. To mocno osłabiło oddziaływanie nowiczoka.

Ale przecież to nie był pierwszy zamach zagraniczny z użyciem tej substancji. Dopiero gdy zrobiło się głośno o Skripalu, skojarzono podobieństwa tego zamachu i wcześniejszego zamachu na bułgarskiego handlarza bronią, kilka lat wcześniej. Emilian Gebrew sprzedawał broń także Ukrainie. Pewnego razu źle się poczuł po obiedzie w restauracji. Wyszedł z tego, ale śledztwo – jak to w zinfiltrowanej przez Rosjan Bułgarii – utknęło w miejscu. Dopiero sprawa Skripala sprawiła, że skojarzono oba wydarzenia – okazało się, że wobec Gebrewa też użyto nowiczoka.

Dlaczego Rosjanie mordują?

Wydaje się, że to, jakiego zamachowcy z Rosji używają żeby zlikwidować cel, zależy nie tylko od możliwości operacyjnych (np. sposobu dotarcia do ofiary), ale też decyzji Kremla, Łubianki czy Akwarium odnośnie nagłośnienia lub nie zamachu. Czy od razu ma być jasne, że to sprawka Rosjan, czy może jednak czasem niekorzystnie jest być skojarzonym z takim aktem przemocy (zwłaszcza w krajach, których Moskwa takimi akcjami nie chce prowokować – albo potężnymi jak USA, albo ważnymi dla celów rosyjskich, jak monarchie Zatoki, albo po prostu sojuszniczymi). Czasem chodzi o wysłanie sygnału takim zabójstwem. Przy czym adresatów można podzielić na kilka grup.

Po pierwsze, to ostrzeżenie dla wrogów reżimu, którzy znaleźli schronienie za granicą. Ostrzeżenie, że nigdy i nigdzie nie mogą czuć się bezpieczni. To pokaz, jak długie ręce ma rosyjski wywiad. Po drugie, to sygnał dla własnych służb, że mogą liczyć na państwo w każdej okoliczności. Zabójcy Litwinienki robili potem polityczne kariery, mimo że oficjalnie ścigał ich Londyn. Zabójca gruzińskiego czeczeńskiego emigranta w Berlinie, choć skazany w Niemczech na dożywocie, został wyciągnięty przez Moskwę w ramach słynnej wymiany szpiegów w sierpniu 2024 roku. Po trzecie, to sygnał dla państw zachodnich, że rosyjskie służby mogą być bezkarne na ich terenie. Po czwarte, to sygnał dla całego społeczeństwa rosyjskiego – pokaz siły reżimu.

Kule z bliska

Tak było np. z zabójstwem parę miesięcy temu rosyjskiego emigranta w Białej Podlaskiej. 44-letni Skrepecki zginął od trzech strzałów z broni krótkiej. Gdy Rosjanin upadł na ziemię, kiler podszedł do niego i oddał jeszcze dwa strzały z bliskiej odległości. Oględziny zwłok wykazały łącznie siedem ran postrzałowych (w obrębie głowy, klatki piersiowej oraz pleców). Zamachowiec musiał być pewny, że ofiara nie żyje – wykonał wszystko z zimną krwią.

Sprawa Skrepeckiego przypomina wiele poprzednich. Wszystkie zabójstwa łączyło narzędzie zbrodni i fakt, że doszło do nich w miejscach publicznych. Szczególnie szokująca była sprawa z sierpnia 2019 roku. W parku w Berlinie zastrzelony zostaje Zelimchan Changoszwili, gruziński Czeczen, weteran walk z Rosjanami starający się o azyl polityczny w Niemczech. Kilera złapano niemal od razu. Okazał się agentem rosyjskich służb – skazany na dożywocie uzyskał wolność i wrócił do Rosji w ramach wspomnianej wymiany więźniów.

Nieco innym przypadkiem zamachu z użyciem broni palnej na osobę uważaną za wroga Rosji było zabójstwo Maksyma Kuźminowa. Ten rosyjski pilot wojskowego śmigłowca jesienią 2023 roku zdezerterował i przedostał się na Ukrainę. Dostał opiekę ukraińskich służb specjalnych i zamieszkał w Hiszpanii. Jednak jego nieostrożność sprawiła, że Rosjanie wpadli na trop. Zabójcy, którzy wykonali wyrok na Kuźminowie, wjechali do podziemnego garażu pod domem pilota białym samochodem Hyundai Tucson i czekali na niego kilka godzin. Gdy się pojawił, otworzyli ogień. Kuźminow został trafiony sześcioma kulami.

Popłynie jeszcze więcej krwi

Trucizna, bezpośrednie egzekucje z broni palnej, ale też przecież bardziej brutalne zamachy (ładunki wybuchowe) czy wysublimowane operacje – jak z rzekomym samobójstwem Borysa Bieriezowskiego w Anglii. Oligarcha miał się powiesić. Tyle że obudowa kabiny prysznicowej, na której rzekomi miał to zrobić, nie wytrzymałaby ciężaru jego ciała (efekt: po latach prac koroner ogłosił, że nie może określić, czy nie było w tym udziału osób trzecich). Mijają lata, niby Zachód wie, do czego zdolna jest Rosja, a wciąż dochodzi do takich wydarzeń.

Nie ma wątpliwości, że czeka nas wręcz intensyfikacja działań Moskwy na tym froncie wojny hybrydowej. Bo jeśli kiedyś to były specjalne operacje wywiadu z konkretnym celem, to teraz staje się to elementem niewypowiedzianej wojny z Zachodem. Więcej brutalności, więcej ofiar – chodzi też już o sterroryzowanie społeczeństw zachodnich. Pokazanie, że nie są bezpieczne. Co jednak się może zmienić w porównaniu z poprzednią erą skrytobójstw za granicą?

Przede wszystkim częstsze wykorzystywanie tzw. jednorazowych agentów (przy wycofaniu doświadczonych oficerów operacyjnych do najbardziej skomplikowanych akcji). Amatorów zwerbowanych przez wywiad do wykonania konkretnego zadania, właśnie choćby zamordowania kogoś w obcym kraju. To będzie miało swoje konsekwencje.

Po pierwsze, może do zamachów dochodzić częściej. Po drugie, stosowane środki mogą być bardziej prymitywne (np. nóż czy młotek). Po trzecie, wzrośnie skuteczność w łapaniu takich kilerów. Czy to jednak powinno nas cieszyć? Raczej nie. Gorsze jest bowiem zwiększenie ryzyka zabójczych akcji – choćby takich jak we wspomnianej Białej Podlaskiej.

Grzegorz Kuczyński jest autorem książki „Jak zabijają Rosjanie"

eprasa.pl 0b30b0837f

PRAWO

Najem krótkoterminowy, czytaj: kłopoty. Pomogą nowe regulacje?

Na regulacje dotyczące najmu krótkoterminowego czekają z niecierpliwością turystyczne gminy, takie jak Szczyrk czy Wisła, ale także spółdzielnie mieszkaniowe w wielu miastach. Ich władze liczą, że wreszcie skończy się wolna amerykanka, która sprawia, że z wynajmowaniem mieszkań na doby mają więcej problemów niż korzyści. Na razie prace nad konkretnymi przepisami trwają, pojawiają się różne pomysły, temat budzi emocje, a do postawienia przysłowiowej kropki nad „i" jeszcze długa droga

Jacek Drost

Najem krótkoterminowy przechodzi w Polsce dla jednych rewolucję, dla drugich głęboką transformację. W Sejmie trwają prace nad przyjęciem pakietu ustaw mających uregulować wynajem mieszkań na doby i wdrożyć unijne przepisy. Samorządowcy miejscowości turystycznych w całej Polsce, także w naszym regionie, i władze spółdzielni mieszkaniowych czekają na nowe regulacje z niecierpliwością, właściciele wynajmowanych na takich zasadach lokali - niekoniecznie.

Prace w Sejmie ruszyły

- Posłowie rozpoczęli prace nad projektem ustawy o najmie krótkoterminowym, który ma uregulować ten rodzaj działalności. Projekt zakłada, że samorządy będą musiały prowadzić ewidencję lokali przeznaczonych na najem krótkoterminowy. Dzięki temu lokalne władze będą mogły reagować na problemy z dostępnością mieszkań na najem długoterminowy i lepiej zarządzać natężeniem ruchu turystycznego. Ponadto nowe przepisy mówią, że najemca będzie musiał uzyskać zgodę wspólnoty lub spółdzielni mieszkaniowej, do której należy lokal, jeżeli najem krótkoterminowy jest świadczony poza miejscem stałego pobytu wynajmującego - informowała w kwietniu tego roku Kancelaria Sejmu w mediach społecznościowych.

Na razie odbyło się pierwsze czytanie poselskiego projektu, który „dotyczy wprowadzenia instytucji najmu krótkoterminowego jako odrębnej usługi prowadzonej na określonych w ustawie warunkach przez osobę fizyczną, osobę prawną lub jednostkę organizacyjną nieposiadającą osobowości prawnej, niezależnie od tytułu prawnego do dysponowania lokalem. Usługa najmu krótkoterminowego umeblowanego domu jednorodzinnego, lokalu mieszkalnego lub ich części dotyczyć będzie świadczenia na podstawie jednej umowy na okres nie dłuższy niż 30 dni i wykonywana będzie za pośrednictwem internetowej platformy handlowej" - można przeczytać na stronie Sejmu. W połowie lipca rząd przyjął projekt ustawy o zmianie ustawy o usługach hotelarskich oraz usługach pilotów wycieczek i przewodników turystycznych oraz niektórych innych ustaw, gdzie znalazły się także zapisy dotyczące najmu krótkoterminowego.

- Projekt przewiduje regulacje tzw. najmu krótkoterminowego, co spowoduje wyeliminowanie tzw. szarej strefy, czyli działalności prowadzonej bez rejestracji i nadzoru. W tym celu powstanie Centralny Wykaz Turystycznych Obiektów Noclegowych. Projekt wdraża przepisy Unii Europejskiej dotyczące gromadzenia danych o wynajmie krótkoterminowym, co ma zwiększyć przejrzystość tego rynku. Nowe przepisy mają uporządkować rynek noclegów w Polsce i zapewnić równe zasady działania dla wszystkich przedsiębiorców. Zmiany mają także zwiększyć bezpieczeństwo turystów - informowało z kolei Ministerstwo Sportu i Turystyki, które przedłożyło projekt.

Na razie trwa proces legislacyjny.

Najważniejsze rozwiązania proponowane przez Sejm

Usługi hotelarskie będą obejmować także wynajem krótkoterminowy mieszkań, np. na kilka dni.

Wynajmujący będą musieli zgłaszać swoją działalność do Centralnego Wykazu Turystycznych Obiektów Noclegowych.

Powstaje jeden ogólnopolski system, w którym będą gromadzone informacje o wszystkich obiektach noclegowych, także tych nieklasyfikowanych, np. prywatnych mieszkaniach na wynajem.

Każdy obiekt będzie musiał mieć regulamin określający zasady pobytu i bezpieczeństwa gości. Konieczne będzie także zamieszczenie kontaktu do właściciela lub administratora.

Wprowadzone zostają kary za brak rejestracji obiektu lub nielegalne świadczenie usług noclegowych.

W przypadku powtarzających się skarg będzie można wykreślić daną działalność z rejestru.

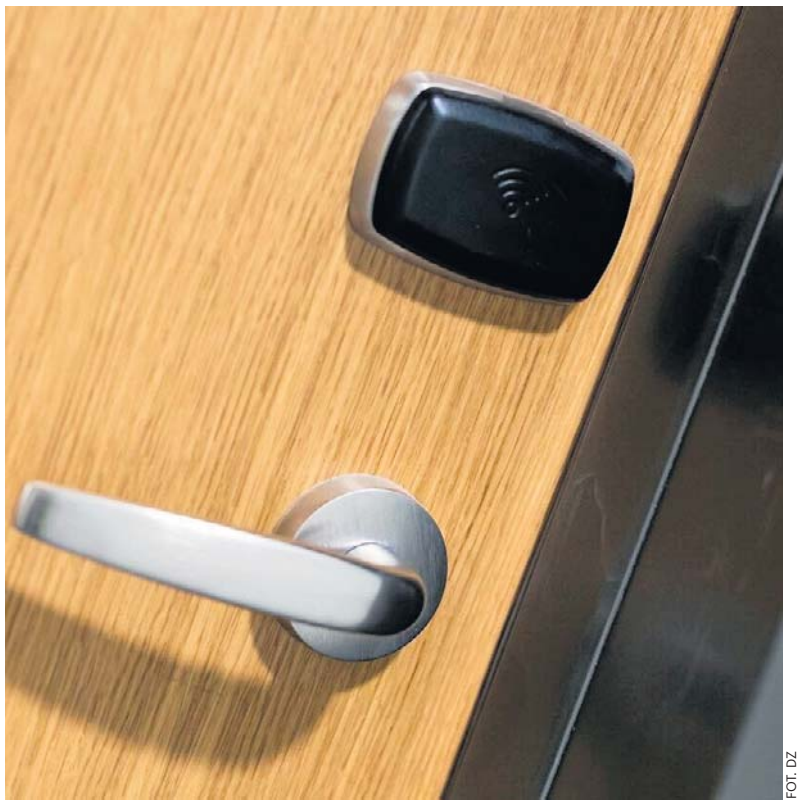

FOT. DZ

Właściciele korzystają z marki

Burmistrz Szczyrku Antoni Byrdy, jako prezes Stowarzyszenia Gmin Górskich, uczestniczy w trwających w stolicy pracach nad najmem krótkoterminowym (biorą w nich udział także przedstawiciele Szklarskiej Poręby, Zakopanego, Kościeliska, Kołobrzegu, Gdańska, Rzeszowa, Wrocławia, Poznania i Warszawy).

- Problem bardzo nas dotyczy, choć uważam, że część osób nie rozumie tematu. Trzeba zacząć od tego, że to nie dotyczy przeciętnego mieszkańca Szczyrku. Dlatego, że przeciętny mieszkaniec Szczyrku nie ma 20-40 mieszkań, które zostały zbudowane do prowadzenia czynności życiowych, a wykorzystuje się je do wynajmu krótkoterminowego - mówi burmistrz Byrdy.

Wyjaśnia, że w ostatnich latach w Szczyrku powstało około tysiąca nowych lokali, ale tak naprawdę tylko w około 10 z nich zameldowane zostały rodziny i normalnie w nich mieszkają. Pozostałe służą do wynajmu krótkoterminowego.

- Prowadzona jest w nich normalna działalność gospodarcza, w związku z tym ich właściciele powinni płacić normalny podatek od działalności gospodarczej, a nie wynajmu mieszkań. Z takiej działalności gmina niewiele ma. Właściciele takich lokali nie są mieszkańcami, więc do gminy nie wpływają od nich podatki PIT czy CIT. Tymczasem oni zarabiają na marce miasta - mówi burmistrz Byrdy.

Dodaje, że jako samorząd przeglądają portale oferujące wynajem mieszkań, wiedzą również, gdzie prowadzona jest taka działalność, ale nie mają jak na nią reagować.

- Chodzi też o zdrową konkurencję, żeby zasady były takie same dla wszystkich. W dużych miastach wynajmowane są mieszkania „po sąsiedzku", które zmieniają się w imprezownie za ścianą. Dobrze, że państwo chce to uregulować. Na razie różne są propozycje, ale sama idea jest słuszna, choć droga do ustalenia nowych przepisów jest jeszcze długa - ocenia burmistrz Szczyrku.

Antoni Byrdy uważa, że prędzej czy później regulacje zostaną wprowadzone, bo zmuszają nas do tego unijne przepisy. Podkreśla, że jeśli nie zostałoby to zrobione, to polskie miejscowości turystyczne podzieliłyby los greckich wysp, choćby Majorki, z której rdzenni ludzie się wyprowadzają, a mieszkania służą na wynajem dla turystów.

- Samorządowcy postulują, żeby gminy mogły wskazywać strefy pod mieszkalnictwo rodzinne. Liczymy, że wtedy takie grunty będą tańsze od tych pod działalność komercyjną, że będzie na nie stać mieszkańca, by kupić działkę i wybudować dom lub kupić gotowe mieszkanie - mówi burmistrz Szczyrku.

Skargi na imprezowiczów i inne problemy

Anna Duch, rzecznik prasowy i szef działu prawnego Katowickiej Spółdzielni Mieszkaniowej, informuje, że w zasobach spółdzielni jest 20 tysięcy mieszkań. Nie wiadomo, ile z nich wykorzystywanych jest do najmu krótkoterminowego, gdyż nie ma obowiązku zgłaszania tego.

- Uporządkowanie kwestii z najmem krótkoterminowym pozwoli rozwiązać sporo problemów. Choćby kwestię skarg lokatorów. Ostatnio było bardzo dużo skarg w rejonie ulicy Sokolskiej i w Superjednostce. To są najmy kłopotliwe, gdzie przyjeżdżają kibice na mecze i są problemy. Zawiadamiamy właścicieli tych lokali, że najemcy hałasują, ale to nic nie daje, bo nie mamy skutecznych narzędzi, żeby przeciwdziałać takim sytuacjom - mówi Anna Duch.

Opowiada, że kolejny problem dotyczy tego, iż wydział finansowy Urzędu Miasta w Katowicach zwrócił się do władz spółdzielni o podniesienie podatku od nieruchomości za lokale, gdzie prowadzony jest najem krótkoterminowy, uznając, że są to lokale użytkowe.

- Odpisaliśmy, że my przecież nie wiemy, kto wynajmuje lokal krótkoterminowo, a kto nie. Tymczasem i tak chcą nas obciążyć dodatkowym podatkiem z tego tytułu. W parlamencie trwają prace regulujące te kwestie - mówi rzeczniczka Katowickiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Katowicka spółdzielnia sama zaproponowała w piśmie do ministerstwa, żeby miała możliwość w uproszczony sposób podnoszenia opłat za takie mieszkania, gdyż są to najczęściej mieszkania spółdzielcze własnościowe lub jako odrębna własność, za które podatki są takie jak od lokali mieszkalnych, a prowadzona jest w nich działalność gospodarcza, z której spółdzielnia nie ma żadnych korzyści.

- Popieramy regulacje w zakresie ograniczenia najmu krótkoterminowego z uwagi na skutki dla sąsiadów, bo ludzie nie wiedzą, kto wchodzi, kto wychodzi, ale także uregulowanie kwestii wyższych opłat - podkreśla Anna Duch.

eprasa.pl 0b30b0837f

MOIM ZDANIEM

Częstochowa w rozterkach między sacrum a profanum. Tu dzieje się cud

Korek na Warszawskiej, zablokowane Aleje i śpiewy od świtu. Mieszkańcy Częstochowy co roku klną pod nosem, gdy nadchodzi połowa sierpnia. Jednak gdy tysiące pielgrzymów zalewają miasto, dzieje się cud – tym razem czysto ekonomiczny. A potem przychodzi 16 sierpnia. Pustka. Ulice są sprzątane przez służby miejskie. W Alejach cisza. I chociaż wielu w czasie ruchu pątniczego to miasto irytuje mocniej niż zwykle, jedno pozostaje pewne: bez pielgrzymów Częstochowa straciłaby swój jedyny moment w roku, kiedy naprawdę staje się „światowa"

Katarzyna Stacherczak

FOT. DAWID WYGAS

To już przeszłość, od kilku dni w Alejach panuje cisza. Skończył się czas, kiedy Częstochowa była centrum, celem. Aż do przyszłego roku

Obraz miasta w przeddzień 15 sierpnia jest zawsze podobny: tłum na alei Najświętszej Maryi Panny, morze kolorowych karimat, zmęczeni, ale uśmiechnięci ludzie. To rzeczywistość miejsca żyjącego w rozkroku między świętością a codzienną irytacją mieszkańców, które na kilka sierpniowych dni zamienia się w tętniącą życiem metropolię.

Miasto nagle pęcznieje w szwach. Zmienia się jego skala – z cichego miasta średniej wielkości staje się międzynarodowym tyglem. Ten masowy napływ wywołuje wśród mieszkańców spore emocje. Część z nich otwarcie narzeka na dezorganizację miejskiego życia, wszechobecny zgiełk oraz ogromne ilości odpadów pozostawiane na trawnikach i chodnikach.

Z drugiej strony nie brakuje mieszkańców, dla których ten okres ma wyjątkowy urok. Co roku tłumnie gromadzą się oni w III Alei NMP, by witać wchodzące grupy. Częstują idących wodą, obdarowują kwiatami i dobrym słowem, wyrażając podziw dla determinacji ludzi, którzy bez względu na pogodę pokonują pieszo setki kilometrów.

Faktem jest też to, że w sierpniu Częstochowa wyraźnie dzieli się na tych nielicznych, którzy na pielgrzymach zarabiają, oraz całą resztę, która musi ten paraliż po prostu przeczekać.

Medal ma rzecz jasna dwie strony. O ile restaurator czy sprzedawca pamiątek pod samym klasztorem zaciera ręce, o tyle właściciel firmy informatycznej, agencji reklamowej czy biura rachunkowego w Alejach ponosi w te dni czyste straty.

– Przez lata siedziba naszej firmy mieściła się w III Alei i dzięki temu nauczyłem się jednego: w sierpniu nie ma mowy o normalnej pracy – przyznaje Jacek Korzec, właściciel firmy Cesin. – Sam dojazd i powrót to nie lada wyzwanie, korki na każdym kroku. Biznesowo to też był trudny czas, bo klienci w ogóle nie chcieli wtedy wjeżdżać w Aleje – woleli wszelkie sprawy załatwiać telefonicznie albo prosili o przyjazd do nich. Prawdziwym wyzwaniem były jednak... megafony. Pielgrzym-ki wchodziły pod nasze okna falami, a każda niosła ze sobą inną pieśń, inny rytm, inną energię. W takich warunkach nie da się pracować w ciszy i skupieniu, ani nawet rozmawiać przez telefon. Z jednej strony podziwiam tych ludzi, bo to gigantyczny wysiłek fizyczny i duchowy, szanuję ich trud. Z drugiej, jako przedsiębiorca byłem tym po prostu skrajnie zmęczony. Ten festiwal megafonów wprowadzał uciążliwy chaos, który uniemożliwiał normalną pracę – tłumaczy.

Pielgrzymkowy paraliż uderza rykoszetem nawet w branżę nieruchomości, która teoretycznie powinna w wakacje korzystać z wolnego czasu potencjalnych klientów.

– W sierpniu telefony po prostu milkną – twierdzi Agnieszka Motyl z Santi Nieruchomości. – Wiadomo, są wakacje i urlopy, to normalne, że w całej Polsce jest wtedy trochę luźniej. Ale u nas dochodzi „efekt Częstochowy". Logika podpowiada, że wolny czas na urlopie to idealny moment na szukanie mieszkania i oglądanie lokali. Ale nie tutaj. Ludzie mają dość miasta w tym okresie, pakują się i wyjeżdżają, żeby przeczekać ten szczyt. A ci, którzy zostają? Na samą myśl o przebijaniu się przez korki i pielgrzymkowe procesje rezygnują. Prezentacja mieszkania, dojazd na spotkanie, krążenie w poszukiwaniu miejsca parkingowego – w połowie sierpnia to logistyczny koszmar. Klienci wolą przeczekać ten najazd na bezpiecznym dystansie i wrócić do tematów mieszkaniowych we wrześniu – wyjaśnia.

Siedem dni eldorado

W tym samym czasie ci, którzy oferują w mieście noclegi, przeżywają prawdziwe oblężenie. W połowie sierpnia znalezienie wolnego pokoju w Częstochowie graniczy z cudem. Na popularnym portalu rezerwacyjnym dla dwóch osób w piątek rano, 14 sierpnia, wyświetliło się zaledwie pięć propozycji, a system bezlitośnie informował: „98 proc. miejsc jest niedostępnych".

Miasto pęka w szwach, a branża noclegowa przeżywa swoje coroczne eldorado. Wystarczyło jednak przesunąć kalendarz o zaledwie siedem dni, by Częstochowa znów stała się zwykłym, średniej wielkości miastem. Tydzień później ten sam portal kusi już blisko setką wolnych obiektów, a ceny wracają do normy.

Podobne kontrasty widać w handlu. Dla jednych długi sierpniowy weekend to bezdyskusyjne żniwa. Na takie chyba szykuje się Częstochowska Organizacja Turystyczna. Instytucja, która na co dzień działa w standardowych, urzędowych godzinach, w tym roku w połowie sierpnia przeszła w tryb pełnej mobilizacji. Żeby wycisnąć z tego szczytu jak najwięcej, biuro i miejski sklep z pamiątkami zrezygnowały z wolnego weekendu. Od 14 do 16 sierpnia pracują na pełnych obrotach – od rana do popołudnia. Wliczając w to oczywiście świąteczny, ustawowo wolny 15 sierpnia. Oficjalny cel to pomoc w zwiedzaniu i oferowanie „częstochowskich akcentów

eprasa.pl 0b30b0837f

FOT. DAWID WYGAS

z podróży". Cel nieoficjalny, ale oczywisty dla każdego mieszkańca? Trwają największe żniwa w roku. W ruch idą tysiące magnesów, przewodników i drobiazgów. Pielgrzym, choćby oszczędny, z Częstochowy bez pamiątki przecież nie wyjedzie.

Klasztor bierze wszystko?

Jednak wystarczy przejść kawałek dalej, na tyły jasnogórskiego klasztoru, by zobaczyć, że optymizm gwałtownie topnieje. Na tamtejszych straganach przy ulicy św. Barbary narracja o „wielkich żniwach" budzi tylko gorzki uśmiech i złość.

– Jakie żniwa? Paulini zagarnęli wszystkich pielgrzymów dla siebie, do nas mało kto zagląda – denerwuje się jeden ze straganiarzy z ulicy Świętej Barbary.

Handel w tym miejscu jest prowadzony sezonowo. Zaczyna się na przełomie kwietnia i maja, a trwa do końca października. Oczywiście niektórzy otwierają swoje budki również zimą, ale takich osób jest garstka. Na straganach znajdziemy dewocjonalia – również te z najwyższej półki – jak i kosztujące kilka złotych zabawki. Wśród tych pierwszych mamy przeróżne obrazy, zegary, figury – z Matką Boską, Jezusem, czy Janem Pawłem II.

Są też różańce, krzyże, łańcuszki z krzyżykami czy wizerunkami świętych, breloczki, makiety klasztoru, współczesne ikony w srebrnych i złotych oprawach. Do tego oczywiście magnesy z Jasną Górą i Częstochową.

– Przychodzą pojedyncze osoby. Wszystko zamyka się na terenie Jasnej Góry lub jej bezpośrednim sąsiedztwie. Nawet jak jakieś duże grupy pielgrzymkowe przychodzą do Częstochowy, to my praktycznie ich nie widzimy. A po mszach mało kto zostaje. Podjeżdżają puste autokary i zabierają pielgrzymów do domów. Z kolei osoby, które przyjeżdżają na zorganizowane wycieczki, mają przewodników i ci zabierają ich w swoje miejsca. I nikt nie zwraca uwagi na to, że tam są takie same pamiątki, tylko w wyższych cenach – twierdzą.

Narzekania na handlowy paraliż słychać tu na każdym kroku i to... od ładnych kilku lat. To klasyczny paradoks Częstochowy: tłum pod oknem jest gigantyczny, ale obroty zerowe.

Faktem jest, że dawniej pątnicy rozlewali się po całym mieście; dziś klasztorna infrastruktura potrafi obsłużyć ich od A do Z – od modlitwy, przez nocleg i obiad, aż po zakup pamiątek. Mimo to handel jakoś się musi kręcić, skoro stoiska są nadal otwierane. Chyba że handlarze robią to tylko z przyzwyczajenia i z nadzieją, że coś sprzedadzą. Ale przecież z tego rodzin nie utrzymają...

Klimatyzacja, kawa i walka o gniazdka

Bliskość klasztoru dyktuje też warunki na częstochowskim rynku gastronomicznym. O tym, jak zróżnicowany bywa pielgrzymkowy ruch, doskonale wie Jacek Włodarek. W centrum Częstochowy prowadzi cztery zupełnie różne koncepty kulinarne: od meksykańskiego Cartel Mexican Bar (Aleja NMP 29), przez azjatycki Rok Tygrysa (Aleja NMP 51) i amerykański Wall Street Burger Sport Bar, aż po śniadaniowo-wieczorne Rano i Wieczorem przy ulicy Szymanowskiego 1. Choć serwuje skrajnie różne smaki w różnych punktach śródmieścia, jego obserwacje od lat pozostają niezmienne.

– Podczas sierpniowego szczytu w naszych lokalach rzeczywiście pojawiają się nowe twarze i widać wzmożony ruch, ale to nic w porównaniu do tego, co dzieje się pod samą Jasną Górą – przyznaje Jacek Włodarek. – Z rozmów z tamtejszymi restauratorami wiem, że ich obroty rosną wtedy dwu-, a nawet trzykrotnie. U nas ten skok nie jest aż tak spektakularny, choć klientów jest oczywiście więcej niż zwykle. Reguła jest prosta: zmęczeni pielgrzymi szukają lokali jak najbliżej klasztoru. Im dalej od Jasnej Góry, tym trudniej ich zauważyć. Nie ma więc mowy o rewolucji: nie zatrudniamy dodatkowych kucharzy ani kelnerów, nie zmieniamy menu i nie wydłużamy godzin pracy. Po prostu nie ma takiej potrzeby – precyzuje.

Osobny rozdział sierpniowego szczytu piszą miejskie kawiarnie. Dla nich to logistyczny sprawdzian generalny. Ruch nie rozkłada się tu na godziny – kolejka stoi od otwarcia do zamknięcia. Kluczem do sukcesu okazuje się nie tylko dobre menu, ale też... liczba dostępnych gniazdek elektrycznych.

Kawiarniane stoliki i ogródki pękają w szwach na całej długości III Alei. Oblegają je ludzie, którzy po przejściu kilkuset kilometrów marzą o tym, aby usiąść na miękkim fotelu, zdjąć ciężki plecak, wypić coś zimnego i... naładować telefon. Dla właścicieli lokali to dni bezwzględnej walki z czasem i towarem – gdy mleko, lód i drożdżówki znikają z zaplecza w zastraszającym tempie. Z kolei dla baristów to praca na najwyższych obrotach, bo kolejki po kawę mrożoną czy lemoniadę w upalne sierpniowe dni wydają się nie mieć końca.

Nawet jeśli przeciętny pielgrzym zostawia w kasie niewiele, to przy setkach tysięcy ludzi przelewających się przez miasto, z których każdy kupi choćby butelkę wody czy najtańsze espresso, efekt skali robi swoje. Im bliżej jasnogórskiego szczytu, tym mocniej to widać.

Relacje budowane przy stoliku

– Ruch pielgrzymkowy trwa u nas tak naprawdę przez cały tydzień, choć w tym roku ludzi jest odrobinę mniej niż się spodziewaliśmy - przyznaje Hanna Stefaniak, współwłaścicielka Cafe & Restaurant Dobry Rok, która mieści się niemal u stóp Jasnej Góry, przy Alei NMP 79. – Dużo większy ruch najbardziej odczuliśmy 13 sierpnia w godzinach popołudniowych i już od wczesnych godzin porannych 14 sierpnia. Teraz mamy dwa dni najważniejsze w ciągu całego roku i nie ukrywamy, że na nie czekamy. Restauracje usytuowane poza centrum pewnie widzą to inaczej, ale nam – tutaj, przy samych Alejach – te kilka dni całkowicie odmienia obroty. Oczywiście, ten ruch pielgrzymkowy w mieście niesie ze sobą chaos, ale przede wszystkim przychodzi z nim niesamowita, pozytywna energia. Ci ludzie są niezwykle wdzięczni, mają w sobie mnóstwo dobrego słowa i otwarte serca. Niektórzy pielgrzymi wracają do nas regularnie od dziesięciu lat. Gdy znów widzimy ich w progu, robi nam się po prostu bardzo ciepło na sercu – twierdzi.

Mocno zwiększone zyski potwierdzają restauratorzy, których lokale działają na wyciągnięcie ręki od sanktuarium.

– Okres pielgrzymkowy to jest dla nas dodatkowy miesiąc obrotów – przyznaje właściciel restauracji Kredens mieszczącej się przy ulicy Siedmiu Kamienic, tuż obok jasnogórskich parków. – To, że pielgrzym skupia się tylko wokół Jasnej Góry, nie wychodzi do restauracji i z niczego nie korzysta, to raczej mit. Do nas ludzie wracają systematycznie od wielu lat. Wyrobiliśmy sobie renomę. Pielgrzym to bardzo powtarzający się klient. Ludzie, którzy u nas już raz byli, potrafią potem przyjechać z drugiego końca Polski – zauważa.

Słowa te rzucają zupełnie nowe światło na pątników, co widać przy stolikach. Przy jednym z nich siedzi pani Dorota, która do Częstochowy dotarła z Lublina.

– Byłyśmy tu w zeszłym roku, trafiłyśmy trochę przypadkiem do tego miejsca i bardzo nam smakowało – opowiada. – Zarówno ja, jak i córka bardzo chciałyśmy ponownie odwiedzić tę restaurację. Poczekałyśmy nawet trochę na otwarcie i z przyjemnością zjadłyśmy kolejny posiłek. Atmosfera i obsługa są bardzo miłe, dlatego z radością się tutaj wraca. Ważne są też te relacje, które budują się przy okazji wizyt w takich lokalach – podkreśla pani Dorota.

Ten biznesowy zastrzyk wyma-ga jednak rygorystycznej logistyki. Prawdziwy szczyt przypada na dni od 10 do 15 sierpnia. Wtedy spokojna restauracja musi błyskawicznie zmienić bieg.

– W normalny dzień poprzedzający ten okres do obsługi wystarczą dwie, trzy osoby. W szczycie pielgrzymkowym musi być nawet pięć razy więcej osób! – dodaje restaurator z ulicy Siedmiu Kamienic.

Światowość na moment

A potem przychodzi 16 sierpnia. Pustka. Ulice są sprzątane przez służby miejskie. W Alejach zapada cisza. Częstochowa z dnia na dzień wraca do swojego normalnego, prowincjonalnego rytmu.

Mieszkańcy oddychają z ulgą. Portfele przynajmniej niektórych przedsiębiorców są pełniejsze. I od lat w lokalnych dyskusjach powraca ten sam motyw: narzekamy na paraliż, zakorkowane ulice, góry śmieci i festiwal megafonów pod oknami. Jednocześnie to samo miasto głośno artykułuje swoje wielkie aspiracje i tęsknoty za odzyskaniem statusu województwa. Chce być metropolią, chce wielkości i znaczenia na mapie Polski.

I tu kryje się największy częstochowski paradoks. Bo gdyby na moment odłożyć na bok święte oburzenie i spojrzeć prawdzie w oczy: co innego, gdyby nie ta Jasna Góra, mogłoby dziś przyciągnąć tutaj taką rzeszę ludzi? Co innego mogłoby na kilka dni w roku wpompować w te ulice międzynarodowy tygiel i autentyczną, światową energię?

Choć wielu w czasie ruchu pątniczego to miasto irytuje mocniej niż zwykle, jedno pozostaje pewne: bez pielgrzymów Częstochowa straciłaby swój jedyny moment w roku, kiedy naprawdę staje się „światowa".

REKLAMA 0111562220
FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy
w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.

Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.
Tel. kontaktowy 603 920 399

eprasa.pl 0b30b0837f

LUDZIE

Dwie siostry, jedna niezwykła historia

Ich historia przed laty poruszyła całą Polskę. Daria i Olga Kołacz przyszły na świat jako bliźniaczki syjamskie, zrośnięte w dolnym odcinku kręgosłupa

Barbara Galas

FOT. BARBARA GALAS

Daria i Olga Kołacz z Janikowa przyjechały do Rzeszowa w roli ambasadorek fundacji ALAMEEN

Dziś są dorosłymi, samodzielnymi kobietami. Studiują, pracują, rozwijają pasje i angażują się w projekty społeczne.

Do Rzeszowa przyjechały podczas dwunastej już akcji pomocy kobietom i dzieciom z Ukrainy, które w rosyjskich atakach straciły kończyny. Do tej pory w ramach przedsięwzięcia wykonano już ponad 300 protez. Koszty wykonania protez, a także pobytu pacjentów w Rzeszowie, pokrywa Fundacja Opieki nad Ofiarami Wojny i Katastrof ALAMEEN, działająca dzięki wsparciu króla Salmana z Arabii Saudyjskiej.

Jeździła po Polsce, szukała lekarzy

Daria i Olga urodziły się 8 października 2003 roku w Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi. Były bliźniaczkami syjamskimi, zrośniętymi w dolnym odcinku kręgosłupa. Ich mama, Wiesława Dąbrowska, dowiedziała się o tym, że urodzi bliźnięta syjamskie, dopiero w 32. tygodniu ciąży.

- To był szok i niedowierzanie. Ale nie było już czasu na zastanawianie się, rozpamiętywanie czy pytanie, dlaczego właśnie my. Trzeba było po prostu działać - wspomina dziś pani Wiesława.

Zaczęła się walka. Mama jeździła po Polsce, szukała lekarzy, konsultacji i specjalistów, którzy mogliby podjąć się rozdzielenia córek. Każda kolejna rozmowa dawała nadzieję, ale jednocześnie przypominała, jak trudna będzie to droga.

W tym samym czasie do działania przystąpił bratanek pani Wiesławy. W internecie, po angielsku, opisał historię dziewczynek. I właśnie ta internetowa wiadomość dotarła do Arabii Saudyjskiej, do lekarzy pracujących w jednym z tamtejszych szpitali. Historia bliźniaczek trafiła następnie do członków saudyjskiej rodziny królewskiej. Wtedy wydarzyło się coś, czego rodzina Kołaczów się nie spodziewała. Padła propozycja, że w całości pokryje koszty operacji ówczesny następca tronu, późniejszy król Abdullah bin Abdulaziz Al Saud.

Bez wahania

3 stycznia 2005 roku w Rijadzie rozpoczęła się wieloetapowa operacja rozdzielenia Darii i Olgi. Zabieg trwał 18 godzin. Kierował nim dr Abdullah Al-Rabeeah, a w operacji uczestniczyło około 50 lekarzy i specjalistów.

Była to operacja niezwykle skomplikowana i obarczona ogromnym ryzykiem. Dla rodziny dziewczynek były to godziny pełne napięcia, strachu i nadziei. A potem przyszła wiadomość, na którą wszyscy czekali. Operacja się udała. Dziewczynki zostały rozdzielone. Dla ich mamy oznaczało to początek zupełnie nowego życia.

- Po rozdzieleniu była przede wszystkim radość i szczęście. Każda matka cieszyłaby się, że operacja się udała i wszystko poszło pomyślnie - wspomina pani Wiesława.

Dziewczynki nie wróciły jednak od razu do Polski. W Arabii Saudyjskiej czekała je jeszcze trzymiesięczna rehabilitacja.

- Doprowadzono je tam do takiego stanu, że kiedy wróciłyśmy do Polski, już raczkowały - wspomina pani Wiesława.

Powrót do Polski nie oznaczał końca tej historii. Wręcz przeciwnie. Arabia Saudyjska stała się drugim domem. Po operacji rodzina regularnie wracała do Rijadu na kontrole. Lekarze, którzy zajmowali się dziewczynkami jako małymi dziećmi, nadal interesowali się ich losem. Analizowali wyniki badań i obserwowali ich rozwój. Dla rodziny Kołaczów Arabia Saudyjska przestała być po prostu miejscem, w którym odbyła się operacja. Stała się częścią ich życia.

- Od tamtego czasu regularnie latamy tam na kontrole. Wszystkie badania są przekazywane lekarzom w Arabii Saudyjskiej, oni je przeglądają i sprawdzają. Dla nas Arabia Saudyjska to drugi dom. Traktują nas jak rodzinę, a my ich również traktujemy jak rodzinę - mówi Wiesława Dąbrowska. Dziś, po ponad 21 latach od operacji, ta więź wciąż jest żywa.

Dwie siostry, dwa charaktery

Daria i Olga nie mogą pamiętać samej operacji. Były wtedy bardzo małe. Historię własnego życia poznawały stopniowo - ze zdjęć, nagrań telewizyjnych, opowieści rodziców i materiałów prasowych.

- Właściwie dowiedziałyśmy się o tym ze zdjęć. Później były programy telewizyjne, media, przyjeżdżali dziennikarze. Tak naprawdę historia naszego życia była wokół nas i z czasem coraz bardziej zaczęłyśmy ją poznawać - mówi Daria.

Dziś trudno patrzeć na Darię i Olgę wyłącznie przez pryzmat ich historii medycznej. Są przede wszystkim dwiema dorosłymi kobietami. Samodzielnymi. Aktywnymi. Mającymi własne zainteresowania i plany. Choć wyglądają niemal identycznie, ich mama od początku podkreślała, że charakter mają zupełnie różny.

- Olga jest bardziej uparta i wojownicza. Daria jest spokojniejsza i bardziej wrażliwa. Każda ma inne upodobania i zainteresowania. Każda chodzi swoją drogą - mówi pani Wiesława.

Siostry tylko to potwierdzają. - Właściwie nasze charaktery są bardzo różne. Tak samo jak zainteresowania - mówi Olga.

Dziewczynki, o których kiedyś mówiła cała Polska, dorosły. Dziś studiują, pracują i rozwijają swoje zainteresowania. Angażują się również w projekty społeczne i występują jako ambasadorki dialogu międzykulturowego.

- Bardzo lubimy latać do Arabii Saudyjskiej. Podoba nam się tam właściwie wszystko - mówi Daria.

Po chwili obie wskazują na coś, co szczególnie zapadło im w pamięć. Życzliwość. - Zawsze witają nas bardzo serdecznie. Naprawdę nie możemy powiedzieć o nich nic złego - dodaje Olga.

Więź z Arabią Saudyjską jest dla sióstr tak ważna, że od pewnego czasu uczą się również języka arabskiego. Operacja uratowała im życie, ale nie sprawiła, że wszystkie problemy zniknęły. Siostry wymagają rehabilitacji i muszą uważać na kręgosłup. Nie traktują jednak swoich ograniczeń jako granicy, której nie można przekroczyć. - Rehabilitację cały czas mamy i musimy mieć. Ale staramy się żyć normalnie, tak jak inni ludzie - mówi Daria. -Mamy pewne ograniczenia związane z kręgosłupem, ale staramy się nimi nie przejmować i nie pozwalać, żeby nas ograniczały bardziej, niż jest to konieczne - dodaje Olga.

„Dzięki niemu możemy żyć osobno"

Kiedy pytamy je o człowieka, który przed laty sfinansował ich operację, w głosie pojawia się wdzięczność. Daria i Olga wiedzą, że bez tej pomocy ich życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej.

- Czujemy się wyróżnione, bo przecież nie zdarza się codziennie, żeby spotkać człowieka, który podjął decyzję o sfinansowaniu takiej operacji. Jesteśmy mu bardzo wdzięczne. Nie wiadomo, jak wyglądałoby nasze życie, gdyby wtedy nie otrzymałyśmy tej pomocy - mówi Daria.

Dziewczyny przyjechały do Rzeszowskich Zakładów Ortopedycznych, gdzie trwa już dwunasta akcja pomocowa. To właśnie tutaj polscy i saudyjscy specjaliści wspólnie wykonują protezy dla osób poszkodowanych w wyniku wojny w Ukrainie, a także dla tych, którzy urodzili się bez kończyn.

Dla Darii i Olgi to spotkanie ma również osobiste znaczenie. Od lat współpracują z saudyjską fundacją i dobrze znają osoby zaangażowane w jej działalność. Ich obecność w Rzeszowie była więc symbolicznym spotkaniem dwóch historii - tej, która ponad 21 lat temu dała im szansę na życie osobno, oraz tej, która dziś pomaga kolejnym potrzebującym odzyskać sprawność i nadzieję.

©℗

eprasa.pl 0b30b0837f

PRZEMYSŁ I LUDZIE

FOT. MATERIAŁY PROMOCYJNE FORM-PLAST, A.W.

Form-Plast w Bydgoszczy to, niestety, była już firma z branży przetwórstwa tworzyw sztucznych i produkcji form wtryskowych. Pracownicy czekają na zaległe wynagrodzenia - za czerwiec, lipiec i sierpień. Do syndyka zgłaszają się podmioty, które chcą kupić części majątku upadłej spółki

Form-Plast upadł. Załoga czeka na wypłaty i odprawy. Szuka u nas pomocy

Czas skończyć z mitem, że Bydgoszcz jest zagłębiem narzędziowym i formierskim. Z dawnej potęgi zostało niewiele. A ta garstka firemek, które jeszcze są i walczą o przetrwanie, też - jak wszyscy – zaopatruje się w Chinach - żali się przede mną pan Jakub. Po kilkunastu latach został zwolniony z Form-Plastu, podobnie jak kilkudziesięciu innych pracowników. Branża narzędziowa ma duże problemy w całej Europie

Agnieszka Domka-Rybka

- Dobrze, że pani o nas napisała, bo inaczej nikt by nie dowiedział się, co przeżywamy. A tak, zaraz po artykule, gdy zrobił się szum medialny, nagle znalazły się pieniądze i dostaliśmy zaległe wypłaty za maj - twierdzi były pracownik.

Wszyscy to kupują, choć każdy gardzi chińszczyzną

Form Plast S.A. w Bydgoszczy to, niestety, była już firma z branży przetwórstwa tworzyw sztucznych i produkcji form wtryskowych. Powstała w 1978 r. jako biznes rodzinny. Z czasem rozwinęła własną narzędziownię, produkując formy dla przemysłu motoryzacyjnego i elektronicznego, m.in. dla takich marek jak BMW, Volkswagen, Volvo.

29.05. tego roku Sąd Rejonowy w Bydgoszczy ogłosił upadłość Form-Plastu i wyznaczył syndyka, który 5.06. skierował pismo do pracowników: „Zawiadomienie wierzyciela o upadłości Pracodawcy". Kiedyś firma zatrudniała 250 osób, a pod koniec około 80. Jej zobowiązania mają sięgać ponad 49 mln zł.

- Cios i niedowierzanie! Choć wiedzieliśmy o problemach, to do samego końca wierzyliśmy, że firmę uda się uratować. Przecież nadzieja umiera ostatnia – mówi pan Jakub.

Wspomina, że kryzys przyszedł wraz z początkiem pandemii. Covid wywołał przerwy w łańcuchach dostaw i przestój w wielu firmach przemysłowych oraz narzędziowych: - I, jak wcześniej wyjeżdżało z Form-Plastu dziennie kilka tirów z wypraskami, tak wtedy... tylko jeden na tydzień.

Dla niewtajemniczonych: wypraski to gotowe elementy lub części uformowane pod ciśnieniem z tworzyw sztucznych, metalu lub gumy w specjalnych formach. Służą np. do tworzenia obudów urządzeń, części samochodowych, przezroczystych opakowań oraz elementów elektronicznych.

Kolejny wstrząs? Chińszczyzna, gdy szturmem zalewała i cały czas zalewa rynek.

- Niby wszyscy wiedzą, że chińskie produkty są gorszej jakości. Gardzi się nimi, bo wypierają rodzimą produkcję i niszczą polski biznes, ale i tak wszyscy je kupują. Nawet firmy narzędziowe sprowadzają formy z Azji. Tak to, niestety, dziś wygląda – komentuje z kolei pan Jacek, również były pracownik.

Kolejny, pan Adam, wskazuje na błędy w zarządzaniu firmą: - Wie pani, jak to jest w rodzinnych biznesach. Każdy chce rządzić. Niekoniecznie słucha mądrzejszych od siebie, bo wszystko wie najlepiej. Lepiej nie wnikać w szczegóły.

Dziś wiadomo na pewno, że w siedzibie zakładu przy ulicy Toruńskiej 143 w Bydgoszczy została tylko ochrona, która pilnuje majątku. Na wyposażeniu są ogromne maszyny narzędziowe i wtryskowe; niektóre ważą nawet 3 tysiące ton.

Najpierw pożegnano się z pracownikami z agencji zatrudnienia – panie pracowały przy wtryskarkach. Później część otrzymała wypowiedzenia w maju, zaś ci, którzy np. poszli na zwolnienia lekarskie - w czerwcu. Niektórzy byli w wieku przedemerytalnym. Na razie załoga dostała wypłaty za maj - wciąż czeka na wynagrodzenia za czerwiec, lipiec, a w przypadku zwolnionych w czerwcu - jeszcze za sierpień.

- Ci, którzy znaleźli pracę, to poza branżą i poza miastem. Powtarzam, Bydgoszcz nie jest zagłębiem narzędziowym - upiera się pan Jakub.

Kiedy dostaną zaległe wypłaty i odprawy?

O Form-Plaście, po moim artykule, zrobiło się bardzo głośno także w mediach społecznościowych. Na naszym Facebooku jest prawie 600 komentarzy. Wybrałam kilka.

Pani Ewa: „Na szczęście, udało mi się w czas przejść na emeryturę. Żal mi tylko pracowników, którym zostało do niej jeszcze kilka lat. Gdzie mają szukać pracy? Pozdrawiam i mocno trzymam kciuki".

„Tami" napisał: „Smutno się to czyta. 25 lat temu posiadali największy park obrabiarek CNC. Byli potęgą. Produkowali wszystko, od korka do wina taniego, przez zastawy dla więźniów, po obudowy telefonów. Co poszło nie tak?"

Pan Rafał: „Warunki rynkowe zdecydowały, że Polacy wolą kupować chińskie buble. Ile posiadacie misek i pojemników z tej fabryki?"

Jak aktualnie wygląda sytuacja Form-Plastu, co z zaległymi wypłatami, pytam syndyka, Arkadiusza Wiśniewskiego z kancelarii Szulc& Wiśniewski. Odpowiada: „12 sierpnia 2026 r. syndyk uzyskał z WUP w Toruniu - z Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych - pieniądze na pokrycie zaległych wynagrodzeń powstałych przed dniem ogłoszenia upadłości oraz odpraw powstałych w maju. Pieniądze zostały przekazane 79 pracownikom objętym wnioskiem, 13 sierpnia. Dodatkowo, w związku z rozwiązaniem zdecydowanej większości stosunków pracy, z dniem 31 lipca, możliwe stało się wystąpienie przez syndyka z wnioskiem do FGŚP o wypłatę odpraw i odszkodowań za skrócone okresy wypowiedzenia powstałe w związ-ku z rozwiązaniem stosunków pracy. Syndyk taki wniosek złożył i podobnie jak dotychczas niezwłocznie po przekazaniu pieniędzy trafią one do pracowników. Ponadto do syndyka zgłaszają się podmioty zainteresowane nabywaniem większych lub mniejszych części majątku upadłej spółki".

Branża narzędziowa szuka odbiorców

O problemach branży narzędziowej rozmawiam także z Piotrem Wojciechowskim, dyrektorem Bydgoskiego Klastra Przemysłowego Dolina Narzędziowa.

- Rzeczywiście, branża ma teraz duże problemy, ale nie tylko w Polsce, bo również w całej Europie - mówi Wojciechowski. - Widać to właśnie na przykładzie firm, które współpracują z branżą motoryzacyjną, jak Form-Plast, choć akurat tutaj kłopoty były od lat. Chińska konkurencja, rygorystyczne warunki narzucone przez UE, ślady węglowe, powodują, że koszty prowadzenia biznesu rosną drastycznie. Nie ma jednak większych upadłości w sektorze, też lokalnie, a raczej firmy szukają innych obszarów dla działalności, jak naprawy czy utrzymanie. Trzeba szukać nowych odbiorców. Mogłyby pracować dla przemysłu zbrojeniowego. Skoro produkowały części do samochodów, to byłyby zdolne również do pojazdów wojskowych i czołgów. Niestety, zbrojeniówka jest zamknięta dla przedsiębiorstw cywilnych.

I na koniec poetyckie refleksje inspirowane ludzkim żalem po upadku Form-Plastu. Znalazłam je na portalu do pisania opinii o pracodawcach - GoWork, gdzie ktoś napisał: „Upadła fabryka, lecz pamięć wciąż żyje. W szorstkich dłoniach ludzi, co stąd odeszli/Bo zakład to nie mury, nie blacha, nie kije, lecz życie, które w nim razem wznieśli./Zastygły formy, wtryskarki już milczą. I choć na kłódkę zamknięto dziś bramę, to Waszych dłoni i wiedzy nie zniszczą".

PS Imiona byłych pracowników zmieniono. ©℗

Tradycje narzędziowe Bydgoszczy. To już tylko wspomnienia?

Byłych pracowników Form-Plastu bardzo boli, że wraz z kolejnymi zakładami znikają miejsca pracy i kawał przemysłowej historii Bydgoszczy - od pilników i narzędzi ręcznych po precyzyjne formy i wykrojniki.

A działała m.in. na tym rynku Befana, w latach 1927- 1939 największa w Polsce wytwórnia pilników.

Prom przed wojną funkcjonował jako fabryka pilników i narzędzi. Metalowa fabryka Prodmetal została z czasem przyłączona do Promu.

Istniał również Formet, który produkował na bydgoskich Glinkach wykrojniki, tłoczniki, formy do tworzyw sztucznych, metali i gumy.

Do maja tego roku działał również Form-Plast.

Warto też wspomnieć, że w latach 70. ubiegłego wieku planowano zbudowanie nowej Befany w sąsiedztwie Zachemu.

Zakład miał zatrudniać 2 tys. osób i produkować dla kraju i na eksport. Planów nie zrealizowano z powodu kryzysu gospodarczego.

Obecnie prowadzą działalność biznesową m.in. Graform, który produkuje formy wtryskowe i narzędzia specjalne, Shapers' Polska Sp. z o.o. - narzędziownia wytwarzająca formy wtryskowe oraz Akson, czyli narzędziownia i producent form wtryskowych oraz rozdmuchowych.

eprasa.pl 0b30b0837f

PRZYRODA

Pszczoły w wielkim (i małym) mieście. Będzie z tego miód, ale przede wszystkim edukacja

W Malborku powstanie pierwsza miejska pasieka. Ule staną na terenie Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego, które udostępnią znani i doświadczeni miejscowi pszczelarze – państwo Sobuniowie. Część pasieki stanie na dachu budynku. Warto przy okazji przypomnieć, że na Pomorzu szlaki w tej kwestii przecierała Gdynia. Tam pszczoły „urzędniczki"już od siedmiu lat wytwarzają miód. Niedawno skończyło się kolejne miodobranie

Radosław Konczyński

FOT. RADOSŁAW KONCZYŃSKI

Symboliczne zasadzenie lawendy na terenie MOW w Malborku, gdzie powstanie miejska pasieka

Pszczoły to ogólnie skarb. Jak wyginą, wyginie ludzkość... To kataklizm przedstawiony oczywiście w dużym uproszczeniu, ale powszechnie wiadomo, że sekret tkwi w zapylaniu. Dlatego nie tylko z uwagi na miód trzeba dmuchać i chuchać na pszczoły, a jeśli można, to... przeprowadzać je do miasta, tak jak teraz dzieje się w Malborku. Nie jest to innowacyjny pomysł, bo ule stoją od kilku lat choćby na dachu Urzędu Miasta Gdyni i w innych częściach, ale lokalnie będzie to projekt nowy, budzący zainteresowanie i pewną ekscytację.

Ule staną na terenie Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego – część na dachu, część na terenie zielonym, w odpowiedniej odległości od ogrodzenia MOW i znajdującego się nieopodal osiedla domów wielorodzinnych. Pszczele rodziny udostępnią znani malborscy pszczelarze, którzy będą też doglądać pasieki. To małżeństwo – zootechnik i nauczycielka biologii.

Małżeństwo pszczelarzy i ich pszczele rodziny

Piotr Sobuń jest absolwentem Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie (obecnie Uniwersytet Warmińsko-Mazurski). Pracę magisterską napisał o pszczołach, konkretnie na temat pozyskiwania pyłku pszczelego. Własną pasiekę prowadzi od 2001 roku. Od tamtej pory jest zawodowym pszczelarzem, członkiem Regionalnego Związku Pszczelarzy w Elblągu. Bożena Sobuń, jego żona, jest nauczycielką biologii w jednej z malborskich szkół. Wspólnie prowadzą kilka pasiek.

– Nasze pszczelarstwo zaczęło się od hobby, zakupu 20 uli. Potem kupowaliśmy kolejne, przygarnialiśmy kolejne rodziny pszczele od osób, które już rezygnowały. Mamy obecnie około 160 rodzin. Dwie stacjonarne pasieki, jedna wędrowna, z którą jeździmy około 200 kilometrów na Kaszuby, żeby pozyskać miód gryczany. Zajmujemy się pszczelarstwem już zawodowo – opowiada Bożena Sobuń. – Pasieka miejska była moim marzeniem. Jesteśmy nietypowymi pszczelarzami, którzy z miasta, gdzie mieszkają, muszą jechać do pracy na wieś kilkanaście kilometrów, a teraz otworzyła się wizja posiadania miejskiej pasieki, ale tu chodzi o promocję pszczelarstwa i edukację.

Dlatego nieprzypadkowo ule pojawią w Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym. Z pomysłem połączenia natury i ekologii z nauką, ale też z pomaganiem, wyszła Marta Dorobek ze Stowarzyszenia Nowa Perspektywa. Jak wyjaśnia, projekt „Malborska Miodosfera" łączy trzy sektory: prywatny, samorządowy i NGO.

– Temat pszczół w naszym stowarzyszeniu już chodził nam po głowie dużo wcześniej. Nigdy nie wiedziałam, czy te rzeczy, które się dzieją na przykład w Gdyni, czyli ule na dachach, są dobre dla pszczół i czy powinniśmy iść w tym kierunku, czy pszczoły powinny być w mieście. No ale po rozmowach z pszczelarzami nie miałam już najmniejszych wątpliwości – mówi Marta Dorobek.

Autorka projektu „Malborska Miodosfera" działa też w Fundacji Hospicjum Malborskie, której jest współzałożycielką, prowadzącej pomoc w ramach domowej opieki paliatywnej.

– Fundacja też dołączy do tego projektu, a to dlatego, że miód, który będzie powstawał w pasiece, w części może być wykorzystywany w aukcjach charytatywnych i środki z nich mogą być w części przekazywane na działalność fundacji – dodaje Marta Dorobek.

Pasieka powstanie na pewno, natomiast kolejne punkty projektu zależą od pozyskania środków zewnętrznych, o które będzie się starała Nowa Perspektywa.

> **Jesteśmy nietypowymi pszczelarzami, którzy z miasta, gdzie mieszkają, muszą jechać do pracy na wieś kilkanaście kilometrów**
>
> **BOŻENA SOBUŃ**
> współwłaścicielka pasieki

– Chcemy, żeby pasieka była otoczona pergolami miododajnymi. Powstanie też miejsce edukacyjne, gdzie wychowawcy i chłopcy z MOW będą mogli opiekować się ulami. Tu jest kwestia zakupu odpowiednich ubrań ochronnych. Chcemy też postawić altanę, ławki, w tym ławkę zasilaną z OZE, żeby była tam ładowarka do telefonów, oświetlenie. Zakres i wielkość projektu zależy od uzyskanych środków, ale pasieka powstanie na pewno.

W malborskim MOW będzie maksymalnie do 10 uli. – Cztery rodziny na dachu budynku i do sześciu na dole. Jeden ul to jedna rodzina. W rodzinie rządzi królowa matka i ona jest najważniejsza. I też taka ciekawostka:

eprasa.pl 0b30b0837f

matki są hodowane przez hodowców, którzy mają certyfikaty. Każda matka hodowlana jest oznaczona znaczkiem, żeby łatwiej ją było znaleźć w ulu. To jest naprawdę bardzo już naukowe podejście. Pszczoła, która przynosi miód, w sezonie żyje czterdzieści dni, a teraz, na jesień, ma się wykluć pszczoła, która przetrwa zimę i będzie żyła do siedmiu miesięcy, żeby wyhodować nowe pokolenie pszczół na wiosnę. Tak to się odbywa. Są różne rasy i odmiany pszczół. Na pewno sprowadzimy tutaj rasę łagodnych pszczół, żeby też dodatkowo zadbać o bezpieczeństwo mieszkańców – mówi pani Bożena.

– Z tego, co już wiemy, na przykład od znajomych, którzy prowadzą takie pasieki między innymi na Śląsku, można wywnioskować, że pszczoły bardzo dobrze egzystują w dużych miastach, zwłaszcza w aglomeracji śląskiej – dodaje Piotr Sobuń.

FOT. URZĄD MIASTA GDYNI

W lipcu na dachu Urzędu Miasta Gdyni odbyło się drugie w tym roku miodobranie

Pszczoły „urzędniczki" zarobione wGdyni

Dobrym przykładem jest też wspomniana Gdynia, gdzie na dachu Urzędu Miasta pasieka funkcjonuje już siódmy rok. Gdyński samorząd prowadzi ją we współpracy z firmą OPEC. Jak poinformował UM, podczas dwóch tegorocznych miodobrań – w czerwcu i lipcu – udało się zebrać łącznie 275 kilogramów miodu, najwięcej w historii pasieki na dachu.

– Jest to jedno z największych miodobrań, jakie mamy od wielu lat w Gdyni. Tak duże zbiory wskazują na bioróżnorodność w okolicach uli. Oznacza to, że mamy bardzo dużo roślin miododajnych, że trwa dobry rok dla przyrody – mówił Rafał Geremek, wiceprezydent Gdyni, po lipcowym miodobraniu. – Pszczoły mają co zbierać, a to z kolei dobrze świadczy o ludziach, którzy dbają o to, żeby ta bioróżnorodność w otaczającej nas przyrodzie była coraz większa. To właśnie dobre samopoczucie pszczół jest dowodem na to, że przyrodniczo idziemy w dobrą stronę.

Pasieka na dachu Urzędu Miasta jest jedną z wielu w Gdyni. Uchwała Rady Miasta z 2019 roku pozwala zakładać własne pasieki w ogrodach i na dachach budynków. Na posesji, która leży w granicach miasta, można trzymać do ośmiu rojów pszczół miodnych. Pasieki powinny znajdować się w odpowiedniej odległości od innych zabudowań lub – w przypadku konstrukcji stawianych na dachach – okien. W obu przypadkach należy zachować minimum 15 metrów odstępu. Aby zminimalizować obawy i ryzyko związane z użądleniami przez pszczoły, do hodowli w Gdyni dopuszcza się tylko te linie i gatunki owadów, których utrzymywanie jest dozwolone na terenie województwa pomorskiego. Osoby zainteresowane hodowlą pszczół na własnej posesji powinny kontaktować się z Rejonowym Kołem Pszczelarzy w Gdyni, gdzie prezesem jest Wojciech Albecki, jednocześnie opiekun pasieki na dachu urzędu.

Jaki z tego będzie miód?

Poza miastem największym źródłem zbiorów dla pszczół jest rzepak. Ale pierwsze wiosenne pożytki stanowią również drzewa kwitnące i sady owocowe.

- W swoich pasiekach skończyliśmy już wybieranie miodu. Teraz przygotowujemy się na sezon 2027. Zaczyna się od leczenia, karmienia pszczół na zimę, bo to, co wyjęliśmy, musimy teraz im uzupełnić w postaci zapasów. Rodzina pszczela może wyprodukować 120 kilogramów miodu, ale 100 kilogramów sama je. Możemy zabrać im te dwadzieścia i na jesień uzupełniamy 20 kilogramów cukru, żeby dobrostan pszczół był zachowany – mówi Bożena Sobuń.

Jakiego miodu można się spodziewać w miejskiej pasiece?

– Na terenie ośrodka mamy duży starodrzew, jest mnóstwo lipy i myślałem, że będziemy mieli tylko miód lipowy. Ale jak ostatnio się dowiedziałem, pszczoła wędruje nawet dwa kilometry od pasieki – mówi Karol Chlebowski, dyrektor MOW.

Dlatego też będzie zapewniona różnorodność. Piotr Sobuń nie martwi się o przyszłość pasieki w MOW. – Pszczoły w miastach nawet lepiej bytują niż na terenach wiejskich, gdzie często są tylko monokultury. A tutaj, w takich miastach jak Malbork, jest bardzo duża bioróżnorodność. Są ogródki działkowe, jakieś sady miejskie czy aleje parkowe. Pszczoły mogą przez cały sezon korzystać z takich pasiek – mówi pan Piotr.

– Będziemy bazować na tych roślinach, które będą tutaj, w okolicy, dostępne dla pszczół. Łąki kwietne, które się teraz robi, to jest fantastyczna baza pożytkowa i będziemy walczyć także o to, żeby nie były koszone, tylko żeby pozostały w parkach czy przy drogach – tłumaczy z kolei pani Bożena.

W okolicy Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego znajdują się również tereny rodzinnych ogrodów działkowych, więc stamtąd pszczoły też będą transportować pyłek w przyszłym roku.

– Na pewno będziemy tu mieli miód wielokwiatowy. Wydajność miodowania w przypadku tej pasieki nie jest najważniejsza. Po prostu chcemy, żeby spełniała ona rolę promocji pszczelarstwa, no i edukacji przede wszystkim – mówi Bożena Sobuń.

– W tym projekcie przede wszystkim chcielibyśmy przekazać nasze doświadczenie podczas warsztatów dla młodzieży, ale mogą nas także odwiedzać szkoły podstawowe czy przedszkola, zobaczyć pracę i poznać, jak żyją pszczoły w ulu – dodaje mąż.

Dyrektor MOW też już się cieszy. – Mam minimalną wiedzę odnośnie pszczelarstwa, ale naprawdę jestem zafascynowany. Wydaje mi się, że nasi chłopcy też będą. Będzie to, po pierwsze, resocjalizacja przez ekologię, ale też żywa lekcja biologii, praca ze zwierzętami, z tym małym zwierzątkiem, które robi taką robotę. Mam nadzieję, że dla naszych wychowanków to szansa na nową pasję, a może i jakaś alternatywa nawet na dalsze życie.

FOT. PIXABAY

Zostało udowodnione, że pszczoła w ciągu swojego życia produkuje jedną łyżkę miodu

– Dziękuję wszystkim zaangażowanym za to, że tę inicjatywę podjęli i że wspólnie ją podejmujemy. Jest tu dużo zieleni, dużo miejsca na to, żeby postawić ule. Świetna atmosfera, świetna młodzież, którą bardzo sobie cenię – mówi Piotr Szwedowski, starosta malborski. – Bardzo się cieszę, że ta inicjatywa ma miejsce. Będziemy mieli okazję pokazać dzieciom i młodzieży, że bez pszczół nie ma życia, że to jest bardzo ważny element ekosystemu także w mieście, na skrawku zieleni. Myślę, że ta nauka, by nie bać się pszczół, tylko się z nimi przyjaźnić, będzie bardzo cenna.

Bożena Sobuń dodaje, że pszczelarstwo to dziedzina, która rozwija się niesamowicie, więc młodzi mieszkańcy na pewno będą mogli wiele skorzystać.

– Dużo się mówi o pszczołach, i bardzo dobrze. Świadomość społeczeństwa jest coraz większa dzięki różnym akcjom typu „Uratuj pszczołę". Wszystko to nas cieszy – mówi Bożena Sobuń.

Jej mąż dodaje, że w pewnym sensie oni z tą miejską pasieką wracają tam, skąd pszczelarstwo przyszło, czyli na wysokości. Tylko że wtedy, przed wiekami, było to bartnictwo.

– Dawno temu te dzikie jeszcze wtedy ule znajdowały się na drzewach. Pierwotnie bartnictwo polegało na tym, że na wysokich drzewach były dziuple i bartnicy, opiekując się lipami, w których były te dziuple, musieli się na nie wspinać. Leśnicy nie byli za bardzo zadowoleni, że drzewostan był niszczony w cudzysłowie przez pszczoły. W ten sposób narodziła się idea, żeby ten pień – i na ul też mówimy pień – ściąć i postawić na ziemi. Dlatego to człowiek ściągnął pszczołę na ziemię dla swojej wygody i dla spraw ekonomicznych – mówi Piotr Sobuń.

– Czyli pszczoły w naturze bytowały znacznie wyżej – podkreśla pani Bożena.

– Można powiedzieć, że wracamy do stanu pierwotnego, na górę – żartuje małżonek.

Warto jeszcze dodać, że państwo Sobuniowie sześć lat temu założyli pierwszą na Pomorzu miodosytnię, czyli niewielką rzemieślniczą wytwórnię miodów pitnych. Absolutnie nie ma to związku z żadnym spirytusem.

Miód pitny to tradycyjny napój alkoholowy, który powstaje w wyniku fermentacji brzeczki miodowej, czyli rozcieńczonego pszczelego miodu. Tworzą produkt regionalny nawiązujący do tradycji średniowiecznych, gdy był to bardzo rozpowszechniony napitek.

eprasa.pl 0b30b0837f

HISTORIA

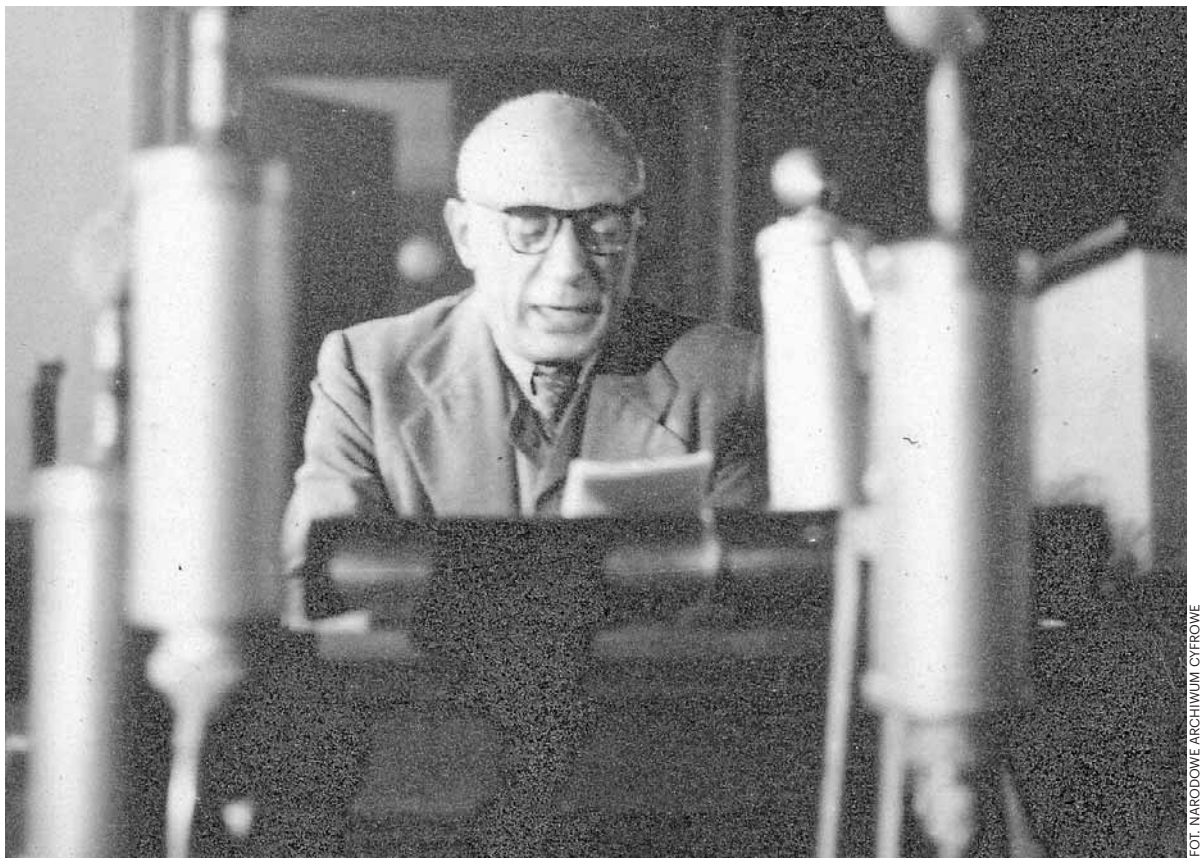

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Pablo Picasso przemawia na Światowym Kongresie Intelektualistów we Wrocławiu w 1948 roku

Intelektualiści walczą o pokój we Wrocławiu

Komuniści byli mistrzami propagandy. Dowiódł tego Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju, zorganizowany w 1948 roku we Wrocławiu. Jego formuła zdumiewa nawet dzisiaj

Mariusz Grabowski

Kongres trwał cztery dni, od 25 do 28 sierpnia w auli Politechniki Wrocławskiej. 400 postępowych delegatów z 46 państw nie tylko krzyczało „Pokój!, pokój!", ale oglądało zorganizowaną równolegle Wystawę Ziem Odzyskanych, udowadniającą m.in. polskość Śląska i potęgę PRL.

Nasz cel: „Pokój!"

Dziś trudno stwierdzić, kto wpadł na pomysł, aby udowodnić powojennemu światu, że to kraje komunistyczne są zwolennikami pokoju, a Zachód jego zagrożeniem. Wedle jednych źródeł Kongres wymyślił tow. Jerzy Borejsza, który później został sekretarzem generalnym tego wydarzenia, według innych tow. Mieczysław Bibrowski, francuski korespondent PAP.

Idea zyskała akceptację towarzyszy radzieckich, w tym samego Andrieja Żdanowa, bliskiego współpracownika Józefa Stalina, a w skład powołanego w czerwcu 1948 r. komitetu organizacyjnego weszli Polacy i Francuzi, m.in: uczeni Irène i Frédéric Joliot-Curie, architekt Le Corbusier, filozofowie Kazimierz Ajdukiewicz i Tadeusz Kotarbiński, pisarze Maria Dąbrowska, Zofia Nałkowska i Jan Parandowski oraz rzeźbiarz Xawery Dunikowski.

Państwo wyasygnowało na przygotowania 100 mln zł, ułożono program, zaplanowano tematykę wystąpień, określono również liczebność delegacji – najliczniejsza miała być 50-osobowa delegacja radziecka – oraz imprezy towarzyszące. Przyjęto zasadę, że Kongres będzie „apolityczny", choć w służbie pokoju i tzw. postępowych sił. Z tego też powodu Borejsza przekonał partyjną wierchuszkę, aby obrad nie otwierał prezydent Bolesław Bierut.

„Wrocławski Kurier Ilustrowany" donosił 25 sierpnia na pierwszej stronie, że w nocy do Wrocławia przyjechały już delegacje jugosłowiańska, szwajcarska, austriacka i duńska, a w ciągu dnia na lotnisku wylądowały samoloty z Francji, Anglii i Włoch. Podawano też, że Pablo Picasso z Paryża wyleci o godz. 9 rano, by po południu wylądować we Wrocławiu. Lot do Polski miał być jego pierwszym w jego życiu lotem aeroplanem.

Od przeglądania listy uczestników może zakręcić się w głowie. Do stolicy Dolnego Śląska przybyły setki znakomitości popierających idee socjalizmu i postępu i walczących z imperializmem i reakcją. Oczywiście w imię światowego pokoju.

W auli Politechniki zasiedli, prócz Picassa, m.in. Ilja Erenburg, Paul Leger, Marcel Pernant, John Rogge, Paul Eluard, Louis Aragon, Michaił Szołochow, Roger Vailland, Salvatore Quasimodo. Z Polaków m.in. Jarosław Iwaszkiewicz, Leon Schiller, Antoni Słonimski, Stanisław Lorentz, Andrzej Panufnik, Kazimierz Wyka.

Zaproszony na Kongres Albert Einstein nie przyjechał, ograniczając się do przesłania orędzia o konieczności międzynarodowej kontroli nad bronią atomową. Jako że było dość krytyczne wobec mocarstw, organizatorzy Kongresu pozwolili na odczytanie krótkiego fragmentu. Wściekły Einstein opublikował później swe orędzie na łamach „New York Timesa" wraz z krytycznym komentarzem podważającym jakikolwiek sens międzynarodowych spotkań intelektualistów w służbie ludzkości.

Poeta wzywa!

Pierwszym kongresowym mówcą był Iwaszkiewicz. „Szara rzeka czasu zrywająca kartki kalendarza sięga po kartkę czerwoną, dzień to bowiem znamienny i radosny, ważny i niezwykły – mówił donośnie. – Ze wszystkich bowiem stron świata przyszliście tutaj do wielkiego polskiego miasta, tej sedes regnis principatus księcia Władysława Hermana, aby spotkaniem swoim oznaczyć, czego chcecie dla świata i ludzkości" – mówił.

Nastąpił niekończący się aplauz zebranych. Kongresowi przewodniczyli: Irène Joliot-Curie, Julian Huxley (ówczesny szef UNESCO), pisarze Aleksandr Fadiejew i Martin Andersen Nexø oraz malarz Renato Guttuso. Wszyscy klaskali na stojąco. Potem Kongres został oficjalnie otwarty. Goście usłyszeli „Zatopioną katedrę" Debussy'ego i „Apassionatę" Beethovena w wykonaniu pianisty z Czechosłowacji Josefa Páleníčka.

Prezes Stowarzyszenia Literatów Francuskich Maurice Bedel podkreślił znaczenie Wrocławia jako miejsca obrad: „Zwróćmy uwagę na te ruiny! Czyż nie takiego właśnie tła potrzebował Kongres Pokoju? (...) Są one jakby straszliwą, olbrzymią pieczęcią śmierci na szlachetnej ziemi polskiej!".

Jeśli Jerzy Borejsza spodziewał się zapewne, że Kongres będzie uładzoną propagandową laurką i że pierwszy dzień skończy się sutym bankietem, stracił złudzenia przy wystąpieniu tow. Aleksandra Fadiejewa. Przewodniczący Związku Pisarzy ZSRR wszedł na mównicę i natychmiast wywołał polityczny skandal.

„Kajdany amerykańskich imperialistów mają zamienić świat w komisariat policyjny, a jego ludność w niewolników kapitału. (...) Gdyby szakale mogły nauczyć się pisać na maszynie, gdyby hieny umiały władać piórem, to, co by tworzyły, przypominałoby z pewnością książki Millerów, Eliotów, Malraux i innych Sartre'ów" – grzmiał. Sartre, twórca filozoficznego egzystencjalizmu, okazał się też natchnieniem „duchowej demoralizacji, czyniącej z człowieka czworonoga".

W gwałtowną polemikę z Fadiejewem wdali się m.in. prof. Alan Taylor z Oksfordu, ale Rosjanin demonstracyjnie zdejmował słuchawki w czasie jego przemówienia. W efekcie część zgromadzonych ostentacyjnie opuściła salę obrad, zaś niektórzy, jak np. Julian Huxley i Taylor, wieczorem opuścili Wrocław. Borejsza, za pośrednictwem przedstawicieli ambasady francuskiej, ubłagał Irène Joliot-Curie, aby została.

Picasso osobno

Prowokację Fadiejewa zatuszowano klasycznym komunistycznym sposobem: Borejsza zatelefonował do Jakuba Bermana, ten do Wiaczesława Mołotowa (członka Rady Ministrów ZSRR), a ten przywołał Fadiejewa do porządku. Radziecki literat do końca Kongresu nie zabierał już głosu. Prasa polska relacjonująca obrady nie wspomniała o skandalu ani słowem.

Przy Fadiejewie ekscesy Pabla Picassa, który siedział na sali półnagi, bowiem z powodu upału ściągnął marynarkę i koszulę, wydają się jedynie zabawne. Gdy doszło do redagowania końcowej rezolucji skierowanej do intelektualistów całego świata, Picasso poszedł oglądać ruiny Wocławia. Wydały mu się one bardzo „kubistyczne".

W owej rezolucji uczestnicy Kongresu napisali m.in.: „Kulturze krajów europejskich, które wniosły ogromny wkład do światowego dorobku ludzkości, grozi niebezpieczeństwo utraty oblicza narodowego. (...) Ludzie, którzy przyjęli metody faszyzmu, uprawiają w swoich krajach dyskryminację rasową, prześladują wybitnych przedstawicieli nauki i sztuki. (...) Podnosimy głos w obronie pokoju, w obronie swobodnego rozwoju kulturalnego narodów, w obronie ich niepodległości narodowej, ich ścisłej współpracy i przyjaźni".

Za przyjęciem rezolucji głosowało 371 spośród 391 obecnych delegatów, którzy powołali także Komitet Łączności Intelektualistów dla Obrony Kultury i Pokoju oraz wezwali do tworzenia komitetów krajowych.

Z punktu widzenia marketingu politycznego Kongres, mimo skandalu z Fadiejewem i kilku wpadek organizacyjnych (podczas jednego dnia obrad nie wpuszczono na salę delegacji brytyjskiej), okazał się sukcesem. Także na polu organizacji, logistyki i nowoczesności – po raz pierwszy w Polsce zastosowano na nim tłumaczenia symultaniczne w pięciu językach, a prasa z dumą donosiła o „postępie technicznym w służbie nauki i kultury". Podczas Kongresu ukazywało się czasopismo „W obronie pokoju" – wydano w sumie cztery numery.

Kongres miał realne polityczne skutki. Zainspirował powstanie Ruchu Obrońców Pokoju, który stał się efektywnym elementem ruchu komunistycznego, a decyzja o zorganizowaniu go we Wrocławiu, co znalazło odbicie w zachodniej prasie, miała – w ocenie wielu historyków – wpływ na uznanie Ziem Odzyskanych za polskie.

Do światowej opinii przebiło się też samo miasto Wrocław. To tutaj znudzony obradami Kongresu Picasso naszkicował na kawiarnianej serwetce w Monopolu gołąbka, który stał się symbolem pokoju – jednym z najbardziej rozpoznawalnych znaków graficznych XX wieku.

eprasa.pl 0b30b0837f

POD PARAGRAFEM

• **Pamiętajcie o Biggersie** Za kilka dni kolejna rocznca urodzin Earla Derra Biggersa (24 sierpnia 1884 r. – 5 kwietnia 1933 r.), autora powieści detektywistycznych o detektywie chińskiego pochodzenia Charliem Chanie.

PITAWAL PRL

Śmierć w Rszewie, która wcale nie musiała się wydarzyć...

Anna Gronczewska

Jest wrzesień 1972 r. Milicjanci z Łodzi odbierają telefon. Koło Konstantynowa Łódzkiego, w miejscowości Rszew, wydarzył się wypadek samochodowy. Kierowca nie żyje.

Nikt nie przypuszczał, że właśnie tak zacznie się ta historia. Samochód znalazło dwóch uczniów. Zauważyli niebieskiego Fiata 125, jeżdżącego jako taksówka, który stał wbity w brzozę. Miał uszkodzone zderzak i maskę. W środku, na siedzeniu kierowcy, leżał zakrwawiony mężczyzna...

Dwóch podejrzanych

Na miejsce przyjechali milicja i prokurator. Była już noc, gdy przy nogach zwłok mężczyzny znaleziono łuskę od broni małokalibrowej; drugi pocisk leżał za fotelem. Na głowie mężczyzny odkryto duże rany... Nie miano już wątpliwości, że taksówkarz został zastrzelony. Ustalono, że był nim 28-letni mieszkaniec Łodzi, Czesław Pacha, mąż i ojciec dwojga dzieci. Milicjanci z Konstantynowa Łódzkiego szybko wytypowali podejrzanych: 19-letniego Janusza Dębińskiego i 18-letniego Konstantego Federa.

„Mein Kampf"

Konstanty Feder miał dziewięć lat, gdy umarła mu matka. Został z ojcem alkoholikiem i trójką rodzeństwa. Naukę skończył w szóstej klasie szkoły podstawowej. Pracował dorywczo na budowach, przy wykopkach.

Rok starszy Janusz Dębiński pochodził z rozbitej rodziny. Jak podają w książce „Pitaval Łódzki" Jarosław Warzecha i Adam Antczak, uchodził za inteligentnego, ale leniwego ucznia. Ostatnio pracował w zakładach im. Jurczaka.

Milicjanci wkroczyli do mieszkania Federa i Dębińskiego. U Federa znaleźli zakrwawioną, niebieską ortalionową kurtkę typu „szwedka". Rodzina powiedziała, że Konstanty wyszedł z domu z Januszem Dębińskim i od tej pory się nie pojawił. W czasie rewizji u Dębińskiego znaleziono dwie świecie dymne i wycior do broni. W komórce były też kartki ze stemplem „Narodowe Siły Zbrojne" oraz „Nakaz rewizji". Znaleziono też egzemplarz „Mein Kampf".

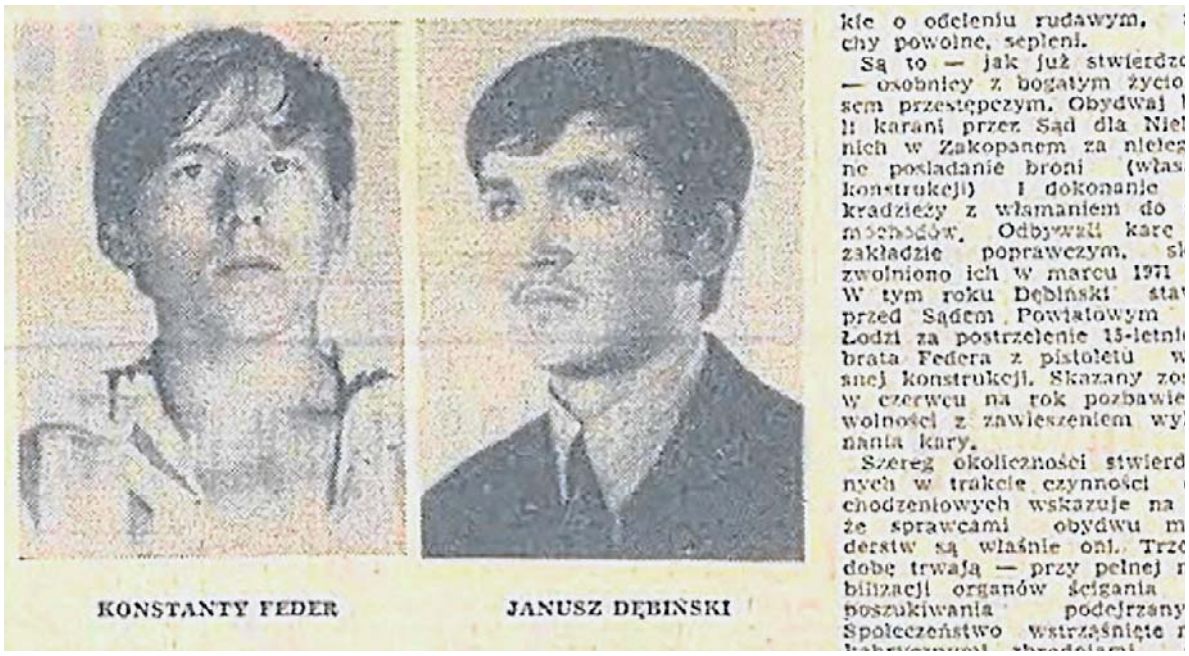

Konstanty Feder (po lewej) i Janusz Dębiński (po prawej) na wycinku gazety z informacją o ich poszukiwaniu. Wrzesień 1972 roku

Byli wcześniej karani

Jeden z kolegów poszukiwanych, do którego dotarli milicjanci, Piotr K., opowiadał, że Janusz Dębiński miał sadystyczne skłonności. Kiedyś zabił łopatą kota, a potem zastrzelił psa. Wiedział, że Dębiński i Feder interesują się bronią. Kiedyś oglądał broń zrobioną przez Dębińskiego. Przypadkowo wystrzeliła i pocisk ugodził w nogę Federa. Chcieli to ukryć, ale się nie udało. Dębiński trafił do aresztu. Był w nim od marca do czerwca 1972 roku.

Janusz Dębiński i Konstanty Feder byli już wcześniej karani. Wiosną 1969 r. pojechali do Zakopanego. Mieli przy sobie broń: Dembiński pistolet Mars, a Feder TT. Ukryli ją pod drewnianym progiem torowiska kolejki na Gubałówkę. Jeszcze tego samego dnia zatrzymano ich. Wrócili do Łodzi. Po roku wrócili do Zakopanego. Broń była w tym miejscu, gdzie ją schowali. Ktoś jednak ich wydał. Trafili do schroniska dla nieletnich.

Strzał padł przy drzwiach

Piotr K. zeznał, że już wiosną Feder i Dębiński namawiali go do zdobycia samochodu. Mieli wziąć z postoju w Łodzi taksówkę i pojechać do Rszewa. Piotr nie chciał z nimi jechać.

Po całym kraju rozesłano za Federem i Dębińskim listy gończe, ukazały się one też w łódzkich gazetach. Publikowano reportaże z poszukiwań przestępców, tym bardziej że obaj dokonali kolejnego morderstwa: w Fabianowie koło Ostrowa Wielkopolskiego...

Około godziny 21, 16 września 1972 roku, funkcjonariusze zapukali do drzwi mieszkania 31-letniego stolarza Jana Barczyńskiego. Mężczyzna już spał, spała też jego 6-letnia córka, a żona karmiła sześciomiesięczne bliźniaki. Stolarz podszedł do drzwi. Jak zeznawała później jego żona, słyszała, że mąż otwiera i zaraz zamyka drzwi. Potem padł strzał. Pobiegła w stronę drzwi. Mąż słaniał się na nogach, obok stał mężczyzna z długą bronią. Zażądał pieniędzy. Ściągnął jej z ręki obrączkę. Po chwili pojawił się drugi mężczyzna. Zabrali jedzenie i ubranie jej męża. Znaleźli też schowane w szafie 2 tysiące złotych.

Dziwni milicjanci

– Mam dobre serce – powiedział jeden z bandytów. Zapytał też, czy mąż ma w domu broń i legitymację partyjną. Pocieszył kobietę, że Janowi Barczyńskiemu nic się nie stało, został tylko postrzelony w ramię. Z zeznań Janiny Barczyńskiej wynika, że mężczyźni mówili do siebie „poruczniku" i „sierżancie". Krzyczeli, że są z NSZ. Potem związali kobietę, a także 6-letnią córkę, i odeszli. Janinie udało się uwolnić z pęt. Kiedy weszła na werandę, zobaczyła martwego męża. Nie było wątpliwości, że zabójstwa dokonali Feder i Dębiński....

Kilka dni po tym zdarzeniu łódzkie gazety mogły pisać o dzielnym wyczynie milicjanta z Wałbrzycha. Morderców rozpoznał w pociągu relacji Jelenia Góra – Opole. Sierżant Karol Frączek siedział z nimi w przedziale. Rozpoznał ich, choć Feder ufarbował włosy, a Dębiński zgolił wąsy.

Chcieli dostać się do RFN-u

Feder na chwilę wyszedł z przedziału. Gdy wrócił, zobaczył stojącego z wyciągniętą bronią sierżanta, który na muszce miał też Dębińskiego. Pociąg zatrzymał się w Jaworzynie Śląskiej. Milicjant wyprowadził ich na peron. Przestępcy zaczęli uciekać. Dzielny sierżant ruszył za nimi. Szarpali się. Feder wstał i wskoczył do przejeżdżającego pociągu. Dębiński wyciągnął pistolet. Na szczęście z pomocą pośpieszyli milicjanci z kolejowego posterunku i obezwładnili Dębińskiego.

Jak donosił „Dziennik Łódzki", Dębiński przyznał się do zabicia stolarza z Fabinowa. Taksówkarza z Łodzi miał zastrzelić Feder. Po tych zabójstwach udali się w stronę granicy z Czechosłowacją. Stamtąd chcieli się dostać do RFN, gdzie mieli kolegę z Konstantynowa. Za zrabowane w Fabianowie pieniądze kupili radio, koce i żywność. Poruszali się z daleka od zabudowań. Spali na polach.

Szukali Fiata 125p

Konstantego Federa złapano po dwóch tygodniach. Głodny poszedł do jednego z gospodarzy we wsi Tarnawa w województwie wrocławskim. Poprosił o coś do jedzenia i picia. Ugoszczono go, a w tym czasie jeden z sąsiadów zawiadomił milicję.

Feder zeznawał, że chcieli zdobyć auto, by pojechać do Czechosłowacji, a stamtąd do RFN lub Włoch. Do Łodzi z Konstantynowa przyjechali tramwajem i poszli na postój. Stały same Warszawy, a oni szukali Fiata 125 p. Znaleźli go na kolejnym postoju. Wsiedli do auta i kazali wieść się do Konstantynowa, przez Rszew.

Byli w Żabiczkach, niedaleko „Chaty wuja Toma", gdy kazali kierowcy zatrzymać się. Dębiński zaczął okładać go rękojeścią pistoletu, a Feder mierzył w głowę ofiary. Kierowca pytał, czy chcą pieniędzy. On je da, niech tylko darują mu życie... Oni zakomunikowali, że potrzebują auta, bo muszą jechać do Lutomierska. Taksówkarz powiedział, że pojedzie z nimi. Dębiński kazał mu jechać przez las. Taksówkarz tłumaczył, że ma mało benzyny. W pewnej chwili próbował uciec. Dębiński wciągnął go do auta i strzelił w głowę. Później zmieniał zeznania. Stwierdził, że taksówkarza i stolarza zabił Feder. Mówił tak, choć wcześniej przestępcy umówili się, że każdy będzie miał na sumieniu jedno morderstwo.

Sąd skazał Janusza Dębińskiego na karę śmierci – wyrok wykonano we wrześniu 1973 roku. Konstanty Feder miał więcej szczęścia. W chwili popełnienia zbrodni nie miał skończonych 18 lat, więc nie mogła być orzeczona wobec niego kara śmierci. Skazano go 25 lat pozbawienia wolności.

eprasa.pl 0b30b0837f

PKO EKSTRAKLASA

Walka o życie na trybunach. Wieczysta zwalnia trenera

Najwięcej emocji i szalonego futbolu dostarczył hit soboty - spotkanie pomiędzy beniaminkiem Śląskiem Wrocław a Widzewem Łódź

Jakub Jabłoński

We wszystkich sobotnich meczach 5. kolejki PKO Ekstraklasy padły remisy. Nie oznacza to, że nie przyniosły one emocji. Najwięcej dostarczyło spotkanie Śląska z Widzewem, gdzie w sumie padło 6 goli, a piłkarze obu ekip dali kosmiczne widowisko. Niestety, mieliśmy też przykre incydenty na pozostałych stadionach.

5. kolejkę PKO Ekstraklasy rozpoczęliśmy od pierwszych derbów Krakowa. Przy Kałuży doszło do historycznego pojedynku między dwoma z trzech krakowskich przedstawicieli w tym sezonie. Cracovia podjęła Wieczystą.

No i to nie był spacerek dla podopiecznych Bartosza Grzelaka. Dwukrotnie musieli gonić rywala zza miedzy, grającego po drugiej stronie Błoni na stadionie Wisły Kraków. W pierwszej połowie wynik otworzył wracający do Polski Mateusz Wieteska, który zdobył swoją premierową bramkę w drużynie beniaminka, a następnie Lisandro Semedo po rzucie karnym podyktowanym za bezmyślny faul w szesnastce byłego reprezentanta Polski Mateusza Klicha. W obu przypadkach Pasy bardzo szybko odpowiadały - Mauro Perković przed przerwą, natomiast Ajdin Hasić w drugiej połowie popisał się dubletem. Bośniak przepięknym trafieniem z dystansu przesądził o zwycięstwie chwilę przed końcowym gwizdkiem sędziego Szymona Marciniaka.

Szefowie ambitnego beniaminka najwyraźniej nie mogli pogodzić się z trzecią porażką (po meczach z Radomiakiem i Lechem) w debiutanckim sezonie. Właściciel Wieczystej Wojciech Kwiecień oraz dyrektor sportowy i wiceprezes Sławomir Peszko podjęli dzień później kontrowersyjną decyzję o zwolnieniu Kazimierza Moskala.

FOT. PAP/PRZEMYSŁAW KAROLCZUK

Angel Baena mija Grzegorza Tomasiewicza i Irodotosa Christodoulou

Piłkarską sobotę zaczęliśmy w Kielcach, gdzie Korona zremisowała z Motorem po golach napastników. Mariusz Stępiński oraz Karol Czubak dali sobie po razie. Więcej emocji przyniósł kolejny zaplanowany mecz. Piasta z Legią. I niekoniecznie tych pozytywnych. W drugiej połowie zasłabł kibic na trybunach przy wyniku 1:0 dla przyjezdnych oraz golu Łukasza Zjawińskiego. Z powodu przedłużającej się reanimacji fana piłkarze zeszli z boiska. Po ponad 40 minutach zawodnicy obu ekip wrócili na murawę. Fana udało się uratować i bezpiecznie przetransportować do szpitala. Po nieprzewidzianej przerwie lepiej zaprezentowali się gospodarze, którzy wyrównali stan rywalizacji za sprawą gola Leandro Sanki w ostatniej akcji meczu, wykorzystując błąd Rafała Augustyniaka.

Najwięcej sportowych emocji i szalonego futbolu dostarczył ostatni mecz - hit soboty. Spotkanie pomiędzy beniaminkiem Śląskiem Wrocław a Widzewem Łódź. Obie drużyny walczyły o drugie zwycięstwo. Łodzianie dwukrotnie byli bliżsi tego celu, obejmując dwubramkowe prowadzenie, mimo gry w osłabieniu po czerwonej kartce Przemysława Wiśniewskiego już od 7 minuty. W końcówce beniaminek wziął się do roboty. Kapitalny mecz zagrał kapitan Piotr Samiec-Talar, dzięki któremu byli w stanie wyrównać. Czym PKO Ekstraklasa byłaby bez kontrowersji? Właśnie niczym - i dlatego ich też nie zabrakło, kiedy w ostatnich minutach faulowany był Emil Kornvig, a Widzewowi należał się rzut karny. Sędzia Marcin Kochanek jedynie zagwizdał po raz ostatni.

5. KOLEJKA EKSTRAKLASY

CRACOVIA - WIECZYSTA KRAKÓW 3:2
Bramki: Perković 45, Hasić 78, 90+4 - Wieteska 23, Semedo 53

KORONA KIELCE - MOTOR LUBLIN 1:1
Bramki: Stępiński 19 - Czubak 30

PIAST GLIWICE - LEGIA WARSZAWA 1:1
Bramki: Sanca 90+5 - Zjawiński 7

ŚLĄSK WROCŁAW - WIDZEW ŁÓDŹ 3:3
Bramki: Kapuadi 47 (samob.), Banaszak 78, Shabani 89 - Garcia 15, Alvarez 36, Baena Perez 63

RADOMIAK RADOM - ZAGŁĘBIE LUBIN 0:0

RAKÓW CZĘSTOCHOWA - GÓRNIK ZABRZE
MECZ PRZEŁOŻONY

TABELA PKO BP EKSTRAKLASY

1. Legia Warszawa	5	11	11-3
2. Górnik Zabrze	3	9	7-3
3. Cracovia	5	8	5-5
4. Lech Poznań	3	7	5-1
5. Zagłębie Lubin	4	7	5-4
6. Pogoń Szczecin	3	6	5-2
7. Widzew Łódź	5	6	8-7
8. Wisła Kraków	4	6	8-8
9. Jagiellonia Białystok	3	6	3-3
10. Korona Kielce	4	5	4-4
11. Śląsk Wrocław	5	5	7-8
12. Motor Lublin	5	5	6-8
13. Wisła Płock	3	4	3-3
14. Piast Gliwice	5	4	8-13
15. Radomiak Radom	5	4	4-12
16. GKS Katowice	3	3	4-4
17. Wieczysta Kraków	4	3	8-10
18. Raków Częstochowa	3	0	3-6

Program 6. kolejki:

Piątek, 28.08
Wisła Płock - Korona Kielce (godz. 18.00)
Legia Warszawa - Śląsk Wrocław (godz. 20.30)

Sobota, 29.08
Radomiak Radom - Cracovia (godz. 12.15)
Motor Lublin - Piast Gliwice (godz. 14.45)
Wisła Kraków - Wieczysta Kraków (godz. 17.30)
Zagłębie Lubin - Pogoń Szczecin (godz. 20.15)

Niedziela, 30.08
Raków Częstochowa - Jagiellonia Białystok (godz. 14.45)
Górnik Zabrze - GKS Katowice (godz. 17.30)
Widzew Łódź - Lech Poznań (godz. 20.15)

JEDENASTKA KOLEJKI

NAJLEPSI STRZELCY

5 goli
Jordi Sanchez Ribas (Wisła Kraków)

3 gole
Tobias Christensen (Wieczysta Kraków)
Karol Czubak (Motor Lublin)
Ajdin Hasić (Cracovia)
Leandro Sanca (Piast Gliwice)
Łukasz Zjawiński (Legia Warszawa)

BOHATER WEEKENDU

Ajdin Hasić
(Cracovia)
Zawodnik „Pasów" zdobył dublet w derbowym meczu z Wieczystą Kraków na wagę trzech punktów i drugiego z rzędu zwycięstwa Cracovii w trwającym sezonie PKO Ekstraklasy. Bośniak popisał się w weekend swoją specjalnością - cudownym uderzeniem zza szesnastki, które, jak później w rozmowie z Canal+ Sport przyznał, miało być... dośrodkowaniem do Kamila Glika, który chwilę wcześniej wszedł na boisko.

FOT. PAP

PIŁKA NOŻNA

Vuković zdradzony przez Kochanka. Trenerzy Piasta i Legii o tragedii

Jakub Jabłoński

- Należał nam się rzut karny - grzmiał trener Widzewa Łódź Aleksandar Vuković. W ostatniej akcji meczu ze Śląskiem Wrocław (3:3) w 5. kolejce ekstraklasy doszło bowiem do największej kontrowersji.

Sędzia Marcin Kochanek nie podyktował rzutu karnego po ewidentnym faulu na Emilu Kornvigu.

Serbski szkoleniowiec nie szczędził bardzo gorzkich słów pod adresem prowadzącego ostatnie sobotnie spotkanie Marcina Kochanka. - Muszę uważać i powstrzymać emocje, aby nie powiedzieć nieco za dużo. Są ludzie bezkarni i tacy, których można ukarać. Są też tacy, którzy za nieprzyłożenie się do pracy mogą stracić pracę - mówił Vuković.

- Dla mnie to był rzut karny dla Widzewa. Ale dlaczego tak się nie stało? Pewnie znajdą się wytłumaczenia, bo przecież nie będzie tak, że ktoś się przyzna do błędu. A nawet jeżeli ktoś się przyzna, to będzie już dla nas marne pocieszenie. To była ta szansa, aby ten mecz wygrać - dodał „Vuko".

Trener Widzewa nie był zadowolony z jego kilku decyzji. - Była decyzja na środku boiska, gdzie był ewidentny faul na naszym zawodniku. Puszczono akcję, później był stały fragment dla Śląska i padła bramka. Nie mam pretensji do sędziego, ale widzimy szybko powtórki - zakończył.

Nie sposób przejść obojętnie wokół tragedii na trybunach, która miała miejsce na stadionie przy Okrzei. Jeden z fanów gospodarzy stracił przytomność i przez dłuższą chwilę (ponad 40 minut) nie dawał oznak życia w trakcie meczu. Był reanimowany przez służby medyczne, a wszyscy dookoła utworzyli z klubowych koców specjalny parawan. - Mecz został rozegrany w cieniu dramatu, bo widzieliśmy, co się wydarzyło. Mam nadzieję, że tego człowieka udało się uratować i wszystko skończy się dobrze - odniósł się trener Legii Warszawa Marek Papszun do wydarzeń, przez które piłkarze musieli zejść do szatni i modlić się o życie kibica.

- Mam nadzieję, że skończy się tylko na ogromnym strachu o zdrowie naszego kibica. Wobec tego jesteśmy bezsilni - dodał od siebie trener Daniel Myśliwiec.

A jak ocenił mecz po wznowieniu gry?

- Czuję dumę, że byliśmy w stanie w obliczu takich okoliczności pokazać siłę. Czuję też niedosyt, bo mogliśmy wyciągnąć trochę więcej, co nie oznacza, że finalnie nie uważam rezultatu za sprawiedliwy - podsumował szkoleniowiec Piasta.

eprasa.pl 0b30b0837f

LEKKOATLETYKA

Polak w finale Diamentowej Ligi. Ale poziom podwórkowy

Mateusz Kołodziejski trzeci w konkursie skoku wzwyż. A to oznacza, że pojedzie do Brukseli, gdzie kończymy sezon „Wanda Diamond League"

Paweł Wiśniewski

Już w pierwszym dniu mityngu lekkoatletycznego zaliczanego do lukratywnego cyklu „Diamentowej Ligi" - „Memoriał Kamili Skolimowskiej", który odbył się na katowickim rynku, mieliśmy powody do zadowolenia.

Otóż w zmaganiach skoczków wzwyż okazało się, że nasz Mateusz Kołodziejski - dzięki 3. miejscu - zdołał wywalczyć awans do wielkiego finału, którego gospodarzem będzie w dniach 4-5 września Bruksela i „Allianz Memorial Van Damme".

Mateusz Kołodziejski uzyskał 2.26 m (trzy zrzutki na 2.29 m) i po raz pierwszy w karierze znalazł się w czołowej „trójce" mityngu Diamentowej Ligi.

To jego drugi wynik w karierze w startach w sezonie letnim (po 2.27 m z 5 sierpnia br. w Monako). Przypomnijmy, że w lutym tego roku, w czeskiej miejscowości Hustopeče na Morawach, ustanowił „życiówkę" 2.30 m.

W Katowicach sześciu zawodników zaliczyło co najmniej 2.26 m - to dopiero drugi konkurs skoku wzwyż w tym roku na takim poziomie. Poprzedni też miał miejsce w Polsce, na halowych mistrzostwach świata w Toruniu...

FOT. PAP/JAREK PRASZKIEWICZ

Mateusz Kołodziejski wykorzystał szansę i jeszcze nie kończy sezonu

Oni zakwalifikowali się do finału „Wanda Diamond League" w skoku wzwyż panów - cztery konkursy (4 września br.):

1. Matteo Sioli (Włochy) 19 pkt.
2. Oleh Doroszczuk (Ukraina) 18 pkt.
3. Romaine Beckford (Jamajka) 18 pkt.
4. Mateusz Kołodziejski (Polska) 12 pkt.
5. Erick Portillo (Meksyk) 12 pkt.
6. Gianmarco Tamberi (Włochy) 11 pkt.

Pierwszą konkurencję tegorocznego „Memoriału Kamili Skolimowskiej" - pchnięcie kulą pań, wygrała mocno wytatuowana Amerykanka Chase Jackson z domu Ealey, która posłała okrągłe żelastwo o wadze 4 kg na odległość 20.92 m! To nie tylko to nowy rekord mityngu, ale i drugi w tym roku wynik na świecie!

To jednocześnie najlepszy wynik w tej konkurencji uzyskany w Polsce od 46 lat - w 1980 roku w Warszawie reprezentująca Czechosłowację Helena Fibingerová pchnęła 21.41 m (tyle zresztą wynosi rekord Polski „all-comers").

LEKKOATLETYKA

Giganci tyczki fruwali nie tylko na stadionie

Paweł Wiśniewski

Podczas chłodnego 13. mityngu Diamentowej Ligi w Lozannie, Pia Skrzyszowska zajęła 5. miejsce w biegu na 100 metrów przez płotki (-0,2 m/sek.) z czasem 12.61. Wygrała Amerykanka Masai Russell - z rekordem zawodów - 12.27.

W 51. edycji kultowego mityngu „Athletissima", w kiepskich warunkach atmosferycznych (17-18 stopni Celsjusza) panujących na „Stade Olympique de la Pontaise" w Lozannie, po raz pierwszy w historii dwóch zawodników skoczyło o tyczce wyżej niż 6.06 m!

Wygrał szwedzki geniusz Armand „Mondo" Duplantis, który zaliczył 6.21 m. Dwukrotnie próbował atakować 6.32 m, ale zaliczył dwie zrzutki (z trzeciego ataku na rekord świata zrezygnował).

FOT. AUTOR

Pia Skrzyszowska i tym razem nie dała rady Nadine Visser z Holandii

Grek Emmanouíl Karalís, trenujący na co dzień pod okiem polskiego szkoleniowca Marcina Szczepańskiego, uzyskał 6.16m, ale na 6.21 m trzykrotnie pomylił się.

Obaj panowie byli już pewnie myślami przy „Memoriale Kamili Skolimowskiej" - organizatorzy naszego mityngu wysłali nawet po tyczkarzy specjalny samolot, by w spokoju dotarli na czas do Chorzowa...

Agnieszka Chorzępa nadawała tempo w biegu na dystansie 3000 metrów z przeszkodami (pierwszy kilometr w 3:01.23), który zakończył się zwycięstwem mistrzyni olimpijskiej Winfred Yavi z Bahrajnu (9:00.04).

Z kolei Patryk Sieradzki był „zającem" w biegu na 800 metrów (400 metrów w 48.86), w którym triumfował mistrz olimpijski Emmanuel Wanyonyi z Kenii - 1:42.19 przed Algierczykiem Djamelem Sedjatim - 1:42.31 i Amerykaninem Brandonem Millerem - 1:42.55. Przez większość dystansu prowadził Marco Arop z Kanady, lecz na ostatniej prostej spadł na 4. miejsce.

W biegu na 800 metrów pań triumfowała mistrzyni Europy Audrey Werro ze Szwajcarii, która ustanowiła rekord mityngu - 1:55.33. Druga Femke Broeders-Bol poprawiła własny rekord Holandii na 1:55.41.

LEKKOATLETYKA

Ewa Swoboda: Nikt mi tego nie zniszczy. Będę biegać jeszcze przez dwa lata

Zbigniew Czyż

Rozmawiamy z Ewą Swobodą, dwukrotną medalistką lekkoatletycznych mistrzostw Europy z Birmingham.

W Birmingham wywalczyłaś srebro w biegu na 100 metrów oraz brąz w sztafecie 4x100. Przed wyjazdem na zawody, taki wynik brałabyś w ciemno?

Nigdy nie zakładam wcześniej tego, co ma się wydarzyć, zawsze jadę na mistrzostwa po to, aby zaprezentować się na nich jak najlepiej. Zazwyczaj to dziennikarze oceniają nasze szanse przed imprezą, a potem my dostajemy hejt za to, że przegraliśmy i nie zdobyliśmy złotego medalu. Tak właśnie słyszałam, że ja i Natalia Bukowiecka przegrałyśmy.

Osiągnęłyście znakomite wyniki, skąd takie rozgoryczenie?

Niestety, ale słyszałam opinie, że ja i Natalia Bukowiecka przegrałyśmy.

W biegu na 100 metrów zabrakło zaledwie dwóch setnych, abyś wywalczyła złoto. Minimalna porażka z Brytyjką Amy Hunt zostawiła u ciebie aż tak duży niedosyt?

Na pewno on jest, bo walczyłam o mistrzostwo Europy. Staram się jednak cieszyć z tego wyniku, bo aktualny sezon jest dla mnie udany i nikt nie zniszczy mi tego. Wiem, ile pracy kosztowało mnie, aby być tutaj, gdzie jestem teraz, dlatego nawet z brązowego medalu na sto metrów byłabym zadowolona. Bardziej cenię sobie ten srebrny medal z Birmingham niż z Rzymu. Udowodniłam, że nadal mogę biegać szybko. Pomimo słabszego okresu podniosłam się i pokazałam, że jeszcze mnie stać na dobre wyniki.

W sztafecie 4x100 metrów wraz z Pią Skrzyszowską, Magdaleną Stefanowicz i Krysciną Cimanouską zajęłyście trzecie miejsce. To sukces?

Jesteśmy w europejskiej czołówce. Dziewczyny bardzo dobrze sobie poradziły. Pia walczyła z przeciwnym wiatrem. Ja na szczęście na swojej zmianie miałam w plecy. Cieszę się, że Magda biegła razem z nami, bo najbardziej jej ufam na trzeciej zmianie. Jestem pewna, że dostarczy mi pałeczkę. Wszystkie idealnie pobiegłyśmy i jak widać jest z tego medal.

Po igrzyskach w Paryżu, gdzie zabrakło ci także ułamków sekundy, by zakwalifikować się do finału, nie kryłaś, że miałaś bardzo trudny czas.

Było ciężko, ale szczegóły wolałabym zostawić dla siebie. Cieszę się, że ten sport wciąż daje mi radość i lubię biegać, bo już nie chciałam.

Te dwa medale z Birmingham dadzą ci ponownie takiego przysłowiowego kopa, by w dalszym ciągu z dumą reprezentować nasz kraj?

Tak, bo każdy medal bardzo mnie cieszy. Jestem gotowa, by dalej rywalizować z najlepszymi. Przede mną jeszcze dwa sezony startów.

FOT. SZYMON GRUCHALSKI

Ewa Swoboda planuje jeszcze kontynuować karierę przez dwa lata

eprasa.pl 0b30b0837f

SIATKÓWKA

Przyjaźni nie było. Madziarki doszczętnie rozbite. Ruszyły mistrzostwa Europy - dzisiaj Łotyszki

Paweł Wiśniewski

W pierwszym meczu 34. edycji mistrzostw Europy siatkarek, Polki pokonały w hali „Sinan Erdem Dome" w Stambule Węgierki 3:0 (25:12, 26:24, 25:20). Kolejnymi rywalkami podopiecznych trenera Stefano Lavariniego będą dzisiaj Łotyszki.

Największym atutem Madziarek był... trener Alessandro Chiappini, który spędził w naszym kraju prawie 10 lat (prowadząc m.in. Atom Trefl Sopot, ŁKS Commercecon Łódź, PTPS Piła, czy Legionovię - z dwoma pierwszymi klubami zdobywał nawet mistrzostwo kraju).

W Stambule, Polki zagrały znakomite spotkanie, ale... tylko przez półtora seta. W drugiej i trzeciej odsłonie musiały mocno się napracować na zwycięstwo.

Pierwsza partia to prawdziwy pokaz siły Biało-Czerwonych, które niepodzielnie dominowały na boisku. Podopieczne Stefano Lavariniego miały sporą przewagę w bloku, tylko w tym elemencie zdobyły sześć punktów, podczas gdy rywalki ani razu nie zablokowały ataku polskich siatkarek. Monika Lampkowska i Maja Koput kończyły niemal każdą piłkę i po kilkunastu minutach było już 20:9 dla Polski.

Zanosiło się na ekspresowy pojedynek, bowiem Biało-Czerwone drugą partie zaczęły od prowadzenia 7:0. Opiekun rywalek - Alessandro Chiappini, który pracował w Polsce z wieloma klubami, nie mógł znaleźć sposobu na świetnie dysponowane Polki. Podopieczne Lavariniego wygrywały 19:12 i wówczas coś się zacięło. Przewaga zaczęła błyskawicznie topnieć, a Lavarini po raz pierwszy musiał poprosić o przerwę.

Na parkiet wróciły Magdalena Stysiak i Katarzyna Wenerska, ale niewiele to zmieniło. W reprezentacji Węgier nie do zatrzymania była Anett Nemeth, a Polki wciąż nie potrafiły skończyć ataku, mimo całkiem dobrego przyjęcia. Stysiak zupełnie się zablokowała i Węgierki nie tylko zniwelowały straty, ale były blisko wygrania seta. Przy prowadzeniu 23:22 Nemeth pomyliła się i był remis 23:23.

W końcówce istotny był as serwisowy Koput, przełamała się w końcu Stysiak, a przy drugim setbolu rywalki dotknęły siatkę.

W trzecim secie Węgierki grały ofiarnie w defensywie i nie rezygnowały nawet, gdy przerywały różnicą czterech „oczek". Przy stanie 13:9 zdobyły sześć punktów z rzędu i prowadziły 15:13.

Wyrównana walka trwała do stanu 20:20, a po chwili Julia Szczurowska uderzyła po skosie. Kolejna akcja trwała kilkadziesiąt sekund i zakończył ją autowy atak byłej zawodniczki BKS Bostik Bielsko-Biała - Reki Szedmak Bozoki. Biało-Czerwone nie pozwoliły już sobie na przestój i wygrały trzy następne akcje.

Dzisiaj o godz. 15.00 Polki zmierzą się w Stambule z Łotyszkami i raczej nie powinny mieć problemów z wygraną.

FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Polki trafiły do niezbyt wymagającej grupy A. Faworytem do zajęcia 1. miejsca są w niej Turczynki, które grają przed własną publicznością

W kolejnych meczach, podopieczne trenera Stefano Lavariniego zmierzą się kolejno ze Słowenkami (25 sierpnia - wtorek), Niemkami (27 sierpnia - czwartek) i Turczynkami (28 sierpnia - piątek), które bronią tytułu mistrzowskiego.

W mistrzostwach Europy, nasza reprezentacja występuje już po raz 33. i jest to... rekord, raczej trudny do pobicia - tylko raz zabrakło nas w imprezie tej rangi (w 1993 roku w Brnie i Zlínie). Żaden z innych uczestników nie ma na koncie tylu występów. Polki były dwukrotnie najlepsze na Starym Kontynencie (2003, 2005).

KOSZYKÓWKA

Porażka polskich koszykarzy w ostatnim sprawdzianie przed eliminacjami do MŚ 2027

Zbigniew Czyż

Reprezentacja Polski koszykarzy przygotowująca się do meczów II etapu eliminacji mistrzostw świata Katar 2027 przegrała w Atenach z Grecją 81:89 w swoim trzecim i ostatnim sparingu przed sierpniowymi kwalifikacjami.

To był 39. pojedynek polsko-grecki i 23. zakończony sukcesem koszykarzy z Hellady. Mecz w stolicy Grecji, szczególnie do przerwy, był bardzo zacięty, a gospodarze nie potrafili znaleźć recepty na akcje podopiecznych trenera Igora Milicicia. Po 20 minutach było 41:39, ale trzecią odsłonę Grecy wygrali 27:19 i to pozwoliło im kontrolować przebieg spotkania w ostatniej czwartej kwarcie. Najskuteczniejszym koszykarzem w polskiej kadrze był 21-letni Kuba Piśla, który uzyskał 15 pkt.

W polskiej drużynie wystąpił już naturalizowany Amerykanin Jordan Loyd (Anadolu Efes Stambuł), jeden z bohaterów Eurobasketu 2025, który w piątek dołączył do kadry w Stambule. Nie zagrał jeszcze Andrzej Pluty i Łukasz Kolenda, którzy przez cały tydzień przygotowywali się do sezonu ze swoimi nowymi klubami z Hiszpanii.

FOT. PAP

Selekcjoner reprezentacji Polski Igor Milicić (na zdjęciu) po ostatnim przegranym sparingu z Grecją nie do końca może być zadowolony

Teraz przed Biało-Czerwonymi już znacznie poważniejsze wyzwania, czyli ostatni etap kwalifikacji na przyszłoroczny mundial w Katarze. Polacy prosto z Aten polecą do Rygi. W czwartek Polacy zmierzą się na wyjeździe z Izraelem, który nie rozgrywa swoich meczów przed własną publicznością ze względu na sytuację polityczną. Spotkanie ma się odbyć w stolicy Łotwy bez kibiców.

W niedzielę, 30 sierpnia o godz. 14:45 nasi koszykarze podejmą w Ergo Arenie Gdańsk/Sopot aktualnych mistrzów świata i Europy, Niemców. Ewentualny komplet zwycięstw w tych dwóch meczach praktycznie przypieczętowałby awans naszej reprezentacji na mistrzostwa świata.

KOSZYKÓWKA

Balcerowski: Najważniejsza teraz kadra, potem Barcelona

Jacek Kmiecik

Aleksander Balcerowski 23 lipca podpisał kontrakt z Barceloną, a obecnie wraz z reprezentacją Polski przygotowuje się do meczów drugiej fazy eliminacji przyszłorocznych koszykarskich mistrzostw świata w Katarze.

25-letni środkowy Aleksander Balcerowski przez ostatnie dwa lata był zawodnikiem Unicai Malaga. Z tym klubem w 2025 roku triumfował w Lidze Mistrzów FIBA oraz Interkontynentalnym Pucharze FIBA. W barwach tego zespołu z Andaluzji rozegrał w sumie 105 meczów, notując średnio 7,2 punktu i 2,4 zbiórki.

Mimo ważnego do 2028 roku kontraktu w lipcu zdecydował się na jego rozwiązanie, a kilka dni później podpisał umowę z Barceloną. Koszykarz przyznał, że od razu był gotowy skorzystać z oferty słynnego katalońskiego klubu. - Nikt by się długo na tym nie zastanawiał - zapewnił.

Barcelona to aktualny wicemistrz Hiszpanii. Finałową serię sezonu 2025/26 przegrała z Valencią. Unicaja zakończyła sezon na dziewiątym miejscu i nie wystąpiła w fazie play off. - Jestem podekscytowany, cieszę się, że dostałem możliwość zagrania w takim wielkim klubie. Zobaczymy, co przyniesie przyszłość. Jestem bardzo zmotywowany. Taka szansa może się już nie przydarzyć drugi raz w karierze, bo jest jedna na milion. Cieszę się, ale podchodzę do tego na spokojnie. Teraz przebywam na zgrupowaniu reprezentacji i to jest najważniejsze, a potem będę zajmował się Barceloną - podkreślił.

Na razie mierzący 217 centymetrów „Olek" wraz z kadrowiczami trenuje na zgrupowaniu w Krakowie i przygotowuje się do meczów eliminacji mistrzostw świata z Izraelem i Niemcami. - Zrobiliśmy kilka kroków do przodu. W kadrze pojawiło się kilka nowych twarzy. Wszystko powinno być dobrze - zauważył center Barcelony.

Biało-Czerwonym do zapewniania awansu, dzięki dobremu bilansowi w pierwszej fazie eliminacji, wystarczą praktycznie dwa zwycięstwa. Teoretycznie może to stać się jeszcze w sierpniu, gdyż najpierw reprezentacja zmierzy się 27. z Izraelem, a trzy dni później z Niemcami.

eprasa.pl 0b30b0837f

TENIS

Świątek zdetronizowana w Cincinnati, spadnie w rankingu WTA na 8. miejsce

Jacek Kmiecik

Iga Świątek odpadła w półfinale turnieju WTA 1000 w Cincinnati. Broniąca tytułu i rozstawiona z numerem 7 przegrała z rozstawioną z numerem 3 Amerykanką Jessicą Pegulą 5:7, 6:4, 4:6. Mecz trwał aż 2 godziny i 47 minut.

FOT. AP/EASTNEWS

Świątek gratuluje wygranej Peguli w półfinale Cincinnati Open

Iga Świątek i Jessica Pegula stworzyły emocjonujące widowisko. Nie brakowało długich wymian, gemów rozgrywanych na przewagi i niesamowitych zagrań. To było ich 13. spotkanie i Polka ma już tylko o jedną wygraną więcej od Amerykanki (7-6).

Pierwszy set zaczął się od serii wzajemnych przełamań. Pierwsza podanie poprawiła Pegula, która odskoczyła na 4:2. Świątek szybko jednak odrobiła stratę. Przy stanie 5:5 Polka znów jednak dała się przełamać.

Serwująca na zwycięstwo w partii Amerykanka wykorzystała pierwszą piłkę setową. Jak na ironię, mimo bardzo dobrej gry obu zawodniczek, decydujący punkt zdobyła po bardzo prostym błędzie Świątek przy siatce.

W drugim secie pierwsza inicjatywę przejęła Polka. Sześciokrotna mistrzyni wielkoszlemowa prowadziła 4:2, a tym razem to Pegula odrobiła stratę. Dwa kolejne gemy znów jednak padły łupem Świątek i potrzebny był trzeci set.

W nim także początek należał do 25-latki z Raszyna, która prowadziła 3:1. Broniąca się z wielką zaciekłością Pegula wyrównała na 3:3. Kluczowy okazał się gem dziewiąty. Serwująca Polka zaczęła go od wyniku 0-40. Choć najpierw obroniła trzy break pointy, to ostatecznie dała się przełamać. Serwująca na zwycięstwo w meczu Amerykanka szansy nie zmarnowała.

Świątek w ciągu ostatnich kilku tygodni wróciła do świetnej formy, wygrywając turniej WTA 1000 Canadian Open w Toronto i odzyskując nieco pewności siebie, której brakowało jej w grze przez ostatnie kilka lat.

Choć w meczu z Pegulą pokazała przebłyski geniuszu, nie był to mecz, który zapamiętamy ze względu na jego jakość, a kluczowy moment podsumował całe spotkanie, które było pełne wahań.

Przy stanie 4:4 w trzecim secie Świątek popełniła podwójny błąd serwisowy, co pozwoliło Peguli na zdobycie decydującego przełamania, dzięki któremu zachowała zimną krew i wygrała.

Świątek broniła 1000 punktów rankingowych zdobytych dzięki zwycięstwu w Cincinnati w zeszłym roku, a teraz przed US Open jej pozycja w rankingu spadnie o 610 punktów.

1000 punktów, które zdobyła wygrywając w Toronto na początku tego miesiąca, zrekompensowało część tej straty punktowej.

Półfinałowa porażka oznacza, że w poniedziałkowym notowaniu światowego rankingu Świątek spadnie na ósme miejsce.

To istotne, ponieważ gdyby wypadła z pierwszej ósemki, mogłaby zmierzyć się z numerem 1 na świecie, Aryną Sabalenką, lub stoczyć rewanż z Pegulą już w 1/8 finału US Open.

Świątek powinna czuć, że ma już wystarczająco dużo meczów za sobą, po tym jak jej świetna passa w Toronto została poparta kilkoma zwycięstwami w Cincinnati.

Porażka z Pegulą w półfinale w Mason obnażyła niektóre z jej wad, które prześladowały ją przez cały rok, takie jak niecelne uderzenia z głębi kortu i niestabilne serwisy. Świątek wyglądała na zdenerwowaną i zestresowaną, gdy mecz wchodził w kluczowe momenty, a znalezienie sposobu na poradzenie sobie z tym stresem może okazać się kluczowe dla jej nadziei na sukces w US Open.

Pegula odniosła 45. zwycięstwo w tym roku i 300. wygraną w karierze na poziomie turniejowym, co przerwało serię 10 zwycięstw Świątek.

- Mecz był szalony, dużo wahań, dużo przerw, bardzo wietrznie, dość dziwne warunki. Czułam, że grałyśmy dobrze, a potem nagle przestałyśmy grać. Jestem naprawdę zadowolona. Zrobiłam dobrą robotę, niezależnie od tego, co się działo - oceniła 31-letnia Jessica.

Najlepszy wynik Peguli w Cincinnati miał miejsce w 2024 roku, kiedy to przegrała w finale z Aryną Sabalenką. Po dwóch latach o tytuł zagrała ze swoją rodaczką i przyjaciółką Coco Gauff, która w półfinale pokonała 20-letnią Czeszkę Sarę Bejlek 6:4, 6:1. Był to pierwszy finał Amerykanek w Cincy od 56 lat. Poprzednim razem dwie Amerykanki grały w finale w Cincinnati w 1970 roku, kiedy Rosie Casals pokonała Nancy Richey.

Bez względu na wynik finału Pegula w rankingu WTA nadal będzie trzecia.

TENIS

Magda Linette i Maja Chwalińska zagrają w deblu US Open

Jacek Kmiecik

Magda Linette i Maja Chwalińska zagrają razem w grze podwójnej US Open. W Nowym Jorku w deblu wystąpią też Katarzyna Piter w parze z Czeszką Anną Siskovą i Jan Zieliński z Brytyjczykiem Luke'em Johnsonem.

W singlu Wielkiego Szlema na kortach twardych Flushing Meadows oprócz Magdy Linette i Mai Chwalińskiej wystąpią też Iga Świątek, Magdalena Fręch, Hubert Hurkacz i Kamil Majchrzak.

W kwalifikacjach US Open szczęścia spróbują natomiast Katarzyna Kawa, Martyna Kubka, Linda Klimovicova i Maks Kaśnikowski.

Ostatni w tym roku wielkoszlemowy turniej rozpocznie się w niedzielę, 30 sierpnia i potrwa do 13 września. Poprzedzą go zmagania par mieszanych (24-26 sierpnia), do których Świątek jest zgłoszona z Norwegiem Casperem Ruudem.

Losowanie drabinek turnieju głównego singlistek i singlistów na Flushing Meadows zaplanowano na czwartek, 27 sierpnia.

Organizatorzy US Open ogłosili, że w puli nagród tegorocznego turnieju wielkoszlemowego w Nowym Jorku będzie aż 108 milionów dolarów. To najwyższa suma w historii tenisa i wzrost względem imprezy sprzed roku o 20 procent.

„Zawodnicy biorący udział w tym wydarzeniu będą mogli liczyć na znaczące podwyżki" - podkreślono na oficjalnej stronie turnieju.

Podczas US Open 2025 organizatorzy rozdali 90 milionów dolarów. Zwycięzcy gry pojedynczej kobiet i mężczyzn wzbogacili się wtedy o okrągłe 5 milionów USD. W tym roku triumfatorzy zgarną o pół miliona więcej. W porównaniu do ubiegłorocznej edycji oznacza to wzrost o 10 procent. Jest to najwyższa wypłata w historii dla mistrzów w singlu, biorąc pod uwagę turnieje wielkoszlemowe.

Rekordowe w Wielkim Szlemie będą również wypłaty w pierwszej rundzie, które w tym roku wzrosną o 27 procent i będą wynosić do 140 tysięcy dolarów.

KRÓTKO

Wioślarstwo

Sześć polskich osad na MŚ w Amsterdamie

Sześć osad - po trzy kobiece i męskie - będzie reprezentować Polskę w rozpoczynających się dziś w Amsterdamie mistrzostwach świata w wioślarstwie. Złoci medaliści w dwójce podwójnej sprzed roku - Mateusz Biskup i Mirosław Ziętarski - popłyną w czwórce podwójnej. Duet ten był najlepszą polską osadą w poprzednim sezonie. Przed mistrzostwami świata w Szanghaju wywalczył też złoto mistrzostw Europy w bułgarskim Płowdiw. **JacK**

Koszykówka

Polki dziewiąte w ME U-16

Reprezentacja Polski koszykarek do lat 16 zajęła dziewiąte miejsce w mistrzostwach Europy w Pitesti i utrzymała się w Dywizji A. W ostatnim meczu Polki pokonały Czeszki 63:62. Wcześniej drużyna trenera Rafała Czyszpaka wygrała w grupie z Bułgarią 80:52, Czechami 72:61 i przegrała z Hiszpanią 37:111. W 1/8 finału uległa Niemcom 46:64 i dopiero kolejny mecz z Włochami 63:47 zagwarantował pozostanie w Dywizji A. O lokaty 9-12 wygrała z Chorwacją 82:61 i ponownie z Czechami. W finale Hiszpania pokonała Słowenię 87:40. **JacK**

Żużel

Triumf reprezentacji Polski w Drużynowych ME U-24

Polscy żużlowcy (Mateusz Cierniak, Maksymilian Pawełczak, Bartłomiej Kowalski, Kevin Małkiewicz, Bartosz Bańbor) zajęli pierwsze miejsce w Drużynowych Mistrzostwach Europy do lat 24 w Grudziądzu. Biało-Czerwoni zdobyli 45 punktów, drugie miejsce zajęła Dania - 44, trzecie Wielka Brytania - 19, a czwarte Szwecja - 12. O tym, kto zdobędzie złoty medal, zadecydował dopiero ostatni, 20. wyścig. Przed czterema biegami nominowanymi (po 16. wyścigu) Polacy mieli na swoim koncie 37 pkt, a ich główni rywale 34. W 19. biegu nieoczekiwanie Bartłomiej Kowalski zaliczył defekt, a 3 punkty zdobył zawodnik z Danii. W efekcie oba zespoły miały na swoim koncie 42 punkty. Jednak w ostatnim wyścigu zwyciężył Maksymilian Pawełczak, a Duńczyk Villads Nagel był drugi. **JacK**

FOT. JAROSŁAW PABIJAN

eprasa.pl 0b30b0837f

S24 sportowy24.pl

sport

SIATKÓWKA

Polki rozpoczęły mistrzostwa Europy od pewnego zwycięstwa nad Węgierkami
str. 22

LEKKOATLETYKA

FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Wywiad Swobody w tle Diamentowej Ligi: Nikt mi tego nie zniszczy
str. 21

PIŁKA NOŻNA

Dramat na trybunach w Gliwicach i szalony futbol w sobotnim hicie ekstraklasy Śląsk-Widzew
str. 20

Iga Świątek nie dała rady Jessice Peguli w półfinale Cincinnati Open, ale i tak pokazała, że wraca do swojej dawnej najlepszej dyspozycji

FOT. AP/EASTNEWS

Słodko-gorzki występ Świątek. Iga nie obroniła tytułu w Cincy, przez co spadnie w rankingu. Mimo to pokazała wzrost formy przed US Open *str. 23*

eprasa.pl 0b30b0837f